Nr. 12 (1367). Warszawa, 23 Marca 1907 r. Rok XXVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19. Telefonu 7388.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Autonomia i samorząd.—Odczyt A. Lednickiego, p. M. W.—Tydzień polityczny. — ODCINEK: Wspomnienia Czajkowca, tłom. z ros. ŻYCIE SPOŁECZNE: Luźne uwagi o działalności tow. oświatowych, p. D. Żółtyńskiego — List z Francyi, p. Izę Zielińską.—FELJETON: Pamiętnik.— BADANIA NAUKOWE: Z nowych kierunków reform społecznych, p. A. Kurcyusza. LITERATRA I SZTUKA: Teatr, p. M. W —Z Muzyki, p. Bojo[illegible].—Z życia partyjnego.—Kronika.—[illegible]. — Ogłoszenia.

Przypominamy zbliżający się czas wniesienia przedpłaty na kwartał II-gi.

POLITYKA

AUTONOMIA I SAMORZĄD.

Samorząd i władza rządowa w Anglii.

Dla kontroli czynności samorządów miejscowych istnieje w Anglii osobne ministeryum, *Local Government Board*. Nominalnie jest to kolegium złożone z kilku ministrów pod prezydyum jednego z nich, faktycznie zaś prezydujący jest jedynym funkcyonaryuszem ministeryum. *Board* (bôrd) powstał w r. 1834 w postaci kolegium trzech „komisarzy"—dyktatorów w sferze zreformowanego „prawa o biednych". Tryumwirat ów został następnie zniesiony, na jego miejsce zaś utworzono kolegium z kilku ministrów, pod nazwą „komitet zarządu prawa o biednych" (*Poor low Board*—Pur lo bôrd). Prawie jednocześnie powstało drugie kolegium ministeryalne do spraw zdrowotności publicznej (*Board of Health*), i w roku 1891 funkcye obu przelane zostały na jedno ministeryum samorządów lokalnych.

To pochodzenie ministeryum wyjaśnia różne stopnie kontroli i władzy względem różnych sfer działalności samorządów. W charakterze spadkobiercy komisarzów z roku 1834, którzy ręką żelazną wprowadzali reformę „prawa o biednych" i despotycznie rządzili lokalnemi komisyami dobroczynności publicznej, ministeryum i po dziś dzień posiada znaczną władzę administracyjną w tej dziedzinie. Komisye miejscowe nie mogą wznieść domu dla robotników, wprowadzić zmian w gospodarce swych instytucyj, w składzie swoich funkcyonaryuszów, bez zgody ministeryum. Jest to najbardziej centralistyczna władza rządowa w Anglii. Sprawiedliwość jednak nakazuje zaznaczyć, że w każdym wypadku, gdy żądania lub zarządzenia ministeryum nie są oparte na ścisłem prawie, może ono być pociągnięte przed zwykły sąd.

Mniejszą a jednak znaczną władzę administracyjną posiada ministeryum w sferze zdrowia publicznego, jako spadkobierca *General Board of Health* (helth). Powstanie owego *Board* wywołane było grasującemi w Anglii w połowie wieku ubiegłego epidemiami i wielką śmiertelnością zwłaszcza w miejscowościach fabrycznych. Władza jego odrazu mniejsza była, niż władza komisyi, gdyż napotkała opór sfer burżuazyjnych. Pomimo to ministeryum dzisiejsze posiada i w tej dziedzinie szerokie prawa. Żadne postanowienie miejscowej władzy zdrowotności (dziś równoznacznej z hrabskimi, miejskimi i wiejskimi zarządami) nie może być wykonane bez przyzwolenia ministeryum, które, w razie skargi ludności miejscowej na niedbalstwo władzy sanitarnej, ma prawo nietylko pociągać ją do odpowiedzialności sądowej, ale może samo przedsięwziąć melioracye zdrowotne (wodociągi, kanalizacye, asenizacye i t. d.) przy pomocy specyalnych komisyj na jej rachunek. Przytem kontrola publiczna potrzeb ludności wykonywana jest ze zdumiewającą troskliwością. Służą do tego celu przedewszystkiem ankiety publiczne. Dalej, ministeryum ma w swem rozporządzeniu inspektorów, którzy nieustannie jeżdżą po całej Anglii, studyując zdrowotno-medyczne urządzenia i stosunki miast i wsi, czyniąc publiczne wywiady w miejscach dotkniętych epidemią, biorąc udział w posiedzeniach komisyj sanitarnych, miejscowych z prawem głosu doradczego i t. d. O każdej zaś czynności swojej i wyprowadzonych z niej wnioskach, dotyczących potrzeb ludności, powiadamiają ministeryum.

Wreszcie ministeryum ma jeszcze jeden przywilej: w myśl aktu z r. 1895 ma ono prawo wypłacania z sum państwowych 50% pensyj lekarzy, inspektorów zdrowia i wszystkich funkcyonaryuszów zarządów miejscowych z warunkiem prawa głosu przy obiorze tych osób. Ponieważ prawie wszystkie samorządy miejscowe uważają warunki te za korzystne dla siebie i zgadzają się na nie, ministeryum może wywierać nacisk na taki lub inny skład komisyi sanitarnej.

Te dwie sfery—dobroczynności publicznej i zdrowia publicznego — wyczerpują zakres administracyjnej władzy ministeryum w działalności samorządów miejscowych. Łatwo zauważyć różnicę kardynalną tego stosunku w Anglii i na kontynencie. Tam ministeryum wypełnia do pewnego stopnia rolę opieki publicznej, dotyczącej potrzeb ludności oraz ścisłego wykonywania praw i najzupełniej pozbawione jest możności działań samowolnych, nieodpowiedzialnych i sprzecznych już nietylko z prawem, ale nawet z opinią publiczną i obyczajem.

Z wyjątkiem tych dwu sfer, samorząd lokalny na całym, niezmiernym obszarze swej działalności obywa się bez najmniejszej styczności z władzą rządową. Weźmy, jako przykład, sprawę budżetu. We Francyi sporządzenie kosztorysu jest obowiązkiem mera, który przedstawia swój projekt do zatwierdzenia najpierw radzie miejskiej, następnie prefektowi lub prezydentowi rzeczypospolitej, wraz ze sprawozdaniem budżetowem za rok ubiegły. Każda z tych instancyj ma prawo wprowadzania poprawek i zmian w projekcie, kwestyonowania tych lub owych pozycyj dochodu i rozchodu w budżecie starym i nowym; papiery te odbywają taką samą wędrówkę powrotną do mera i rady, dla wykonania *zgodnie z poczynionemi zmianami*. W ten sposób prawa samorządne są złudzeniem, władza rozstrzygająca należy wyłącznie do sfer wyższych. Za prawidłowy wpływ dochodów odpowiedzialnym jest mer, za prawidłowość wydatków odpowiada skarbnik, *naznaczany* przez rząd z liczby kandydatów, proponowanych przez zarząd miejski. Sprawozdania skarbnika sprawdza najpierw rada miejska, potem kontroler ministeryalny, następnie rada prefektury lub trybunał osobny. Jeżeli sprawozdanie zawiera niedokładności, wiadomość o tem znowu przebywa całą wymienioną drogę i dostaje się do odpowiedniego ministeryum, które ją komunikuje ministe-

rjum sprawiedliwości, to ostatnie zaś wytacza proces. Takie są sprawy i stosunki w demokratycznej i republikańskiej Francyi. W monarchicznych i biurokratycznych Prusach budżet układa magistrat i wnosi do rady miejskiej. Rada zatwierdza i podaje wyższej instancyi, którą jest *Regierungsprasident*. Ewentualne zmiany mogą być zakwestyonowane w jeszcze wyższej instancyi. Rewizya budżetu dokonanego odbywa się również najpierw w magistracie, następnie w radzie miejskiej, kopia zaś przesyłana jest *Regierungspräsident*'owi również dla kontroli. W Anglii rada samorządu poleca ułożenie budżetu swojej komisyi finansowej, i sama go zatwierdza. Na tem koniec. Ani mer, ani ministeryum, ani jakiekolwiek inne osoby lub instytucye nie mają w tych sprawach głosu. A jednak w Anglii jedynie istnieje właśnie ścisła i surowa kontrola budżetu: tej kotroli dokonywają sami płacący podatki. Zwołują oni specyalne zebrania, gdzie o tych sprawach radzą i w razie jakichkolwiek nieporozumień wysyłają swoich deputatów dla otrzymania wyjaśnień. W końcu roku wykonanie budżetu sprawdzają delegaci ministeryum samorządów miejscowych. W miastach jednego z tych kontrolerów wyznacza mer, drugiego obiera ludność opodatkowana. Jeżeli przy sprawdzaniu znajdą oni wydatek niewłaściwy lub niepotrzebny, ministeryum ma prawo żądać jego zwrotu od tych członków samorządu, którzy głosowali w swoim czasie za nim, w razie zaś odmowy może pociągnąć ich do odpowiedzialności sądowej. Ze swojej strony oskarżeni członkowie mają prawo uciec się do sądu dla obrony przed niesprawiedliwem postanowieniem ministeryum. W ten sposób nie może być tu mowy o działaniach „administracyjnych" w naszem znaczeniu. Ministeryum występuje w charakterze rzecznika prawa i sprawiedliwości. Pomimo to liczne żywioły społeczeństwa angielskiego protestują przeciwko tym ograniczonym prawom ministeryum, upatrując w nich pierwiastek niezgodny z duchem wolności obywatelskiej w rządzie. Z drugiej strony należy zaznaczyć, że ministeryum z tych swoich praw korzysta nadzwyczaj rzadko, wiedząc, że nawet niesłuszne wydatki zrobione zostały nie wskutek złej woli i nadużycia, ale z powodu niewłaściwego zrozumienia litery prawa. Bywają wszakże wypadki, kiedy obie strony, ministeryum i samorząd, natrafiwszy na kwestyę, niedostatecznie przez prawo wyjaśnioną, żądają sądu nad „winnymi" umyślnie w tym celu, ażeby prawo weszło we wszystkie szczegóły sprawy i wyświetliło je do dna. Taki wypadek zaszedł w nieistniejącej już dziś komisyi szkolnej w Londynie, której wydatki na urządzenie kursów wieczornych dla dorosłych uznane były przez ministeryum za niewłaściwe, na tej zasadzie, że zakresem działania komisyi szkolnej była oświata początkowa, kursa zaś przekraczały jej granice. Obie strony zwróciły się jednomyślnie do sądu, który przyznał słuszność ministeryum. Ten wyrok sądowy miał takie skutki, że wszystkie komisye szkolne w kraju musiały zamknąć kursa wieczorne, co wywołało reformę szkolną 1902 roku. Szczególnie charakterystyczną była tu ta drobna okoliczność, że ministeryum umówiło się naprzód z komisyą szkolną, że pozycyę kosztów sądowych, poniesionych przez nią w tym procesie przeciwko ministeryum, ono uzna w budżecie za prawidłową. Z tego szczegółu już wynika jedyna tendencya ministeryum, mianowicie dążenie do zachowania praworządności we wszystkich wypadkach życia społecznego

Budżet atoli obejmuje tylko rubryki wydatków zwyczajnych. Według prawa żaden wydatek nadzwyczajny i wogóle nowy a znaczny nie może być pokryty z sum podatkowych, a tylko w drodze pożyczki. Pożyczka zaś nie może być zaciągnięta bez zgody parlamentu, który w danym wypadku jest obrońcą interesów miejscowej ludności opodatkowanej, tak samo jak w wypadku pożyczki państwowej jest obrońcą interesów całej ludności państwa. W tym charakterze parlament wchodzi w szczegółowe badanie istoty sprawy i, w razie zgody na pożyczkę, określa termin amortyzacyi. Dla zaoszczędzenia zaś czasu i wydatków ministerya w wypadkach stereotypowych korzystają z przysługującej im władzy dyskrecyonalnej, uświęconej obyczajem, i wydają samorządom lokalnym pozwolenia, na początku zaś najbliższej sesyi parlamentarnej wnoszą same bill ogólny, dotyczący wszystkich spraw, do zatwierdzenia parlamentu. Bill ten ma już charakter formalności i przechodzi bez czytania. Pozostaje on jedynie symbolem tej zasady, że ministeryum, wydając pozwolenia, działa jako organ wykonawczy woli parlamentu, nie zaś jako władza administracyjna, naczelna w stosunku do samorządów miejscowych. I w tych wypadkach ministerya wchodzą we wszystkie szczegóły spraw i określają termina amortyzacyi pożyczek. W większości wypadków ministerya zarządzają wywiad publiczny, w celu wszechstronnego zbadania wszystkich warunków danej sprawy i, w razie odmowy ze strony ministeryum, organ samorządu lokalnego ma prawo wnieść bill do parlamentu. Ostatni ten szczegół ważny jest ze względu na korzyści praktyczne. Wiadomo, naprzykład, że ministeryum przez długi czas sprzeciwiało się umiastowieniu tramwajów i stale odmawiało zatwierdzenia pożyczek na ten cel. Znalazło się jednak miasto, które wniosło w tej sprawie bill do parlamentu. Parlament bill zatwierdził, i od tego czasu ministeryum bez przeszkód wydaje pozwolenia na tego rodzaju pożyczki.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy finansowej stronie autonomii samorządów lokalnych, gdyż właśnie sfera finansów jest ulubionem polem dla sportu administracyjnego na kontynencie. Jeżeli w tej sferze autonomia społeczeństwa angielskiego jest tak wielka, to w innych jest ona zupełna. W Anglii niemożliwy byłby zatarg taki, jaki się zdarzył przed kilku laty w Niemczech, pomiędzy rządem a magistratem berlińskim, z powodu kolei elektrycznej w pewnym punkcie ulicy Unter den Linden, a jeszcze przedtem z powodu miejsca i ustawienia pewnego pomnika. Jeszcze mniej możliwy w Anglii byłby taki wypadek, jaki zaszedł niedawno w Moskwie, gdzie minister o mały włos nie oddał pewnemu towarzystwu koncesyi na urządzenie *metropolitain'u* z prawem wykupu już istniejących tramwajów, wbrew energicznym protestom całego miasta i Dumy miejskiej. Rząd angielski w sprawach „takich wpros" nie ma swego *locus standi*, to do niego *nie należy*, jak naprzykład nie należy do organów samorządu miejscowego wtrącanie się do rozporządzeń ministra wojny.

Streszczając wywód powyższy, powtarzamy, że ministeryum samorządów lokalnych, jak również każde inne, które ma styczność z organami samorządów, w żadnym razie nie pozostaje względem nich w stosunku władzy naczelnej, a w hierarchii administracyjnej nie zajmuje wyższego miejsca. Ono czuwa jedynie nad ścisłem wykonywaniem prawa przez samorządy.

Stosunki panujące w Anglii pomiędzy rządem centralnym a miejscowym są wyrazem istotnej demokratyzacyi społeczeństwa, w którem organa samorządów lokalnych są organami wewnętrznego rządu państwa. Gdzie panują stosunki inne, gdzie społeczeństwo nie jest panem swej woli, tam niema mowy o demokracyi.

---

3)

Wspomnienia Czajkowca.

(z miesięcznika *Byłoje*).

(Ciąg dalszy)

Rozpoczęła się teraz przedślubna mitręga, z której najnieprzyjemniejszem było to, że rodzice z Sonią i ze mną postanowili jechać do Wiatki, żeby zaprowadzić nas do archireja, którego wychowanką była Sonia, i prosić go o błogosławieństwo dla nas; a prócz tego zażądali odemnie, ażebym im przedstawił choć telegraficzne błogosławieństwo mojego ojca.

Ta wyprawa do Wiatki była dla mnie w najwyższym stopniu nieprzyjemną, głównie dla tego, że tam kiedyś brat mój przebywał na zesłaniu i tam ożenił się z córką isprawnika, którego znał O. Wasyl; gdyby więc ten ostatni z nim się spotkał i rozgadał, mogło wszystko wydać się i sprawę zgubić; prócz tego groziło mi ujawnienie zupełnej mojej nieznajomości miasta— choć i skryć się było łatwiej w razie niepowodzenia u któregokolwiek z zesłańców, którzy tu wtedy byli. W każdym razie nie było rady, jechać musiałem.

Ale i żądanie błogosławieństwa ojca wprawiało mnie w niemały kłopot. Powiedziałem im, że ojciec mój znajdował się w Petersburgu, więc rzecz prosta telegraficzne otrzymanie błogosławieństwa nie przedstawiało żadnych trudności; tymczasem ojciec mój siedział sobie w swej posiadłości na południu i o niczem nie wiedział, co syn jego robił. I znowu trzeba było na los liczyć.

Postanowiłem telegrafować do Petersburga na imię ojca, pod adresem brata. Niestety, nikt z nas o tem zawczasu nie pomyślał, obiecywałem sobie jednak, że brat, otrzymawszy taki telegram, domyśli się zaraz, o co chodzi, depeszę odbierze i odpowiedź żądaną przyśle.

W cichości postanowiliśmy z Sonią, że co ma być, to będzie, i wszyscy ruszyliśmy w drogę.

Ojciec Wasyl przez całą podróż coraz częściej traktował mnie, jak członka rodziny, opowiadał o swych interesach i różnych sprawach, matka z dobrocią troszczyła się, czy mi aby ciepło, i pilnowała na popasach, żebym jadł. Ja też czułem dla obojga wielką życzliwość i było mi nad wyraz przykro, że w istocie rzeczy miałem zostać dla nich zupełnie obcy i postąpić z nimi, jak ich wróg największy.

Przyjechaliśmy do Wiatki i stanęliśmy w zajeździe, w którym O. Wasyl zwykle się zatrzymywał. Poszedłem zaraz do telegrafu i do ojca, pod adresem brata, wysłałem depeszę: „Przyślijcie nam błogosławieństwo, ono powstrzymało wszystko". —Zaś O. Wasyl udał się do archireja.

Pod wieczór my wszyscy, O. Wasyl, matka, Sonia i ja wybraliśmy się do niego, jak sobie tego życzył, gdyż chciał osobiście mnie poznać. W mieszkaniu, nieodznaczającem się bynajmniej wspaniałością, przyjął nas arcypasterz, niewielkiego wzrostu, gruby, czerwony, już w latach człowiek i podał wszystkim rękę do pocałowania, błogosławiąc jednocześnie. Usadowił nas z Sonią na kanapie, za stołem, około którego rodzice i on zajęli miejsca na krzesłach, poczem zaraz podano herbatę z konfiturami i ciastem.

Wesoło i dobrodusznie prawił nam gru by archirej, sprowadzając rozmowę wpręd ce na świętość i nierozerwalność ślubów małżeńskich. Z czego ja korzystając, wypowiedziałem parę uwag, które jak mi po-

Odczyt Aleksandra Lednickiego.

Pojęcie o autonomii, szeroko spopularyzowane u nas jako hasło, przez ogół mało badane wgłąb, a w programie narodowo-demokratycznym z rozmysłu pozostawione w zarysach mglistych, bałamutnych, ogólnikowych, jako prawie pusta forma, którą by można było napełnić w odpowiedniej dobie dowolną treścią; jako szkielet stosunków zewnętrznych, który dał by się w stosownej chwili oblec w ciało dowolnych kształtów, o dowolnych systemach ustroju wewnętrznego, krążenia soków, przemiany materyi—pojęcie o autonomii, dzięki szeregowi prac światłych i źródłowych, poczyna u nas powoli w świadomości coraz szerszego ogółu przechodzić z suchej i oderwanej myśli zaczątkowej w stadyum granulacyi komórek życiowych, poczyna nabierać kształtów konkretnych i wchodzi w sferę zagadnień dla społeczeństwa całego najbliższych, najgorętszych, najistotniejszych. A. Świętochowski, T. Wróblewski, A. Lednicki z kolei otwierają szerokie widnokręgi i perspektywy stosunków politycznych wszechświatowych, obnażają podstawy i wiązania istotne, na których oparte i wzniesione są gmachy państw najbardziej typowych w dodatniem i ujemnem znaczeniu, a gorący udział społeczeństwa w tych wykładach dowodzi rzeczywistej i naglącej potrzeby karmi i światła w tej pierwszorzędnej dla narodu naszego sprawie.

Lednicki wnosi z sobą szerokie tchnienie skrzydeł myśli, która zatacza swobodne, ogromne kręgi w sferach współżycia narodów i państw, ogarnia krytycznem okiem niezmierne pola zjawisk i mocą syntezy twórczej rzuca wielki i jasny kształt rzeczy samej, pojętej jako wynik sił realnych, jako płód konieczności dziejowej i jako—ideał przyszłości.

Oparłszy się na szeroko rzuconym zarysie historyozoficznym, obejmującym typy systematów państwowych i wewnętrznych w państwie stosunków grup narodowościowych względem siebie wzajem i względem całego organizmu zbiorowego, mówca buduje na tej gruntownej podstawie przejrzysty i przekonywający logiką i pięknością—gmach wniosków i wskazówek. Daleki od zacieśniania się w h. k. t. egoizmu nacyonalistycznego, jeżeli mówi o prawach i dążeniach do samookreślenia narodowego, społecznego, kulturalnego, to zawsze ma na myśli w tych prawach równy udział, w tych dążeniach wspólny cel—wszystkich grup narodowościowych, tworzących państwo rosyjskie. Nietylko nie dostrzega najmniejszego niebezpieczeństwa dla nas w gorącem popieraniu powszechnego ruchu autonomistycznego, ale widzi groźne niebezpieczeństwo w zaparciu się wspólnoty dążeń i celów polskich z ogólnem we wszystkich, choćby najsłabszych kulturalnie i liczebnie narodach, plemionach i szczepach — parciem żywiołowem ku wolnej, twórczej samoorganizacyi życiowej w jednym, zrzeszonym i mocnym nazewnątrz organizmie państwowym. W szeregu wielu powszechnie znanych i powtarzanych motywów, przemawiających za realną korzyścią systemu decentralizacyjnego w rządach państwowych, Lednicki ze szczególną wyrazistością uwydatnił motyw psychologiczny, świadomość obywatela wolnych i dumnych swoją kulturalną wolnością krajów takiej np. Wielkiej Brytanii, w których z dnia na dzień, z wieku na wiek rozrasta się i umacnia elementarne ciążenie ku metropolii, opiekującej się całą siłą swej zewnętrznej potęgi bytem ich materyalnym a pozostawiającej całe bezgranicza dziedzin moralnych samoistnej organizacyi rozwojowej. W krzewieniu idei zrzeszenia ludów Rosyi na zasadach decentralizmu władzy, w szczepieniu fermentu twórczego, który mniej uświadomione grupy podniesie z czasem do godności samowiedzy narodowej i kulturalnej, a następnie w zgodnej wspólnej akcyi politycznej żywiołów autonomistycznych—widzi mówca wielkie teoretyczne i praktyczne zagadnienie przyszłości.

Szczep wielkoruski stanowi w państwie mniejszość, a przytem rdzenne, najlepsze, najbardziej postępowe i kulturalne jego żywioły dążą całą mocą do decentralizacyi, do zdobycia zupełnego samorządu. W innych szczepach słowiańskich i niesłowiańskich samowiedza odrębności i potrzeba wolnego życia, zorganizowanego na podstawach przyrodzonych i swoistych, wzrasta z każdą chwilą. Zharmonizowanie tych dążeń pomiędzy sobą i z prądem polskim istotnie narodowym—oto droga do pomyślnej dla nas przyszłości, która nie jest mrzonką, lecz musi być owocem logiki i konieczności ewolucyjnej dziejów. Stworzenie państwa federacyjnego nie jest kwestyą chwili bieżącej, ani jutrzejszej, ale Polacy ze stanowiska ideowego i praktycznego nie powinni na chwilę zapominać o tej idei szerokiej, ogólno-państwowej. Zarzuty, jakie w tej mierze uderzają z obozu szowinistów rosyjskich i polskich, są dwojakiego rodzaju. Pierwsi mają za złe szczrzenie „zarazy" decentralizacyi w tych częściach państwa, gdzie organizm centralistyczny jest niepoczęty i zdrowy, upatrując moc państwową właśnie w tej sile centralistycznej; drudzy twierdzą, ze zbliżenie, skojarzenie, złączenie dążeń autonomistów polskich z takimże ruchem innych grup jest obniżeniem, podporządkowaniem naszej sprawy sprawom cudzym. Ale zarzuty te są słabe i nie mają podstaw. Niepodobna powstrzymać dążeń narodowych tam, gdzie się one poczęły i zrodziły. I niepodobna zaprzeczyć praw do rozwoju samodzielnego żadnej grupie narodowej, bez względu na to, czy ona może powołać się na traktaty i prawa historyczne, czy „tylko" na świadomą wolę narodową. A jeżeli są w nas istotnie żywe tradycye przodków to i one nas muszą popchnąć do tej wspólnej i wielkiej roboty za „wolność waszą i naszą".

M. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W parlamencie niemieckim kanclerz rzeszy stał się znowu przedmiotem ostrych napaści z powodu nacisku rządowego na przebieg wyborów. Mówcy socyalistyczni i centrowcy wykazywali, że cały aparat urzędniczy był na usługach rządowej agitacyi wyborczej. W liście, wydanym na Sylwestra, kanclerz wzywał do głosowania przeciw socyalistom, centrum, Welfom i Polakom. Nadto używano pieniędzy w celach agitacyjnych. Rozdzielono kilkadziesiąt tysięcy marek pomiędzy policyantów i rozdano znaczne sumy do rozporządzenia pewnych osób, zajmujących wysokie stanowiska w hierarchii urzędniczej. Jeśli kanclerz ma prawo dawać pieniądze partyom pewnym, to parlament—mówiono—ma prawo zapytać, skąd pieniądze pochodzą. Mówią, że źródłem ich jest giełda, mówią też, że pochodzą ze źródeł prywatnych za nadawanie orderów. Policyantom i kolejarzom w Berlinie wprost zabroniono wybierać kandydatów opozycyjnych. Za wolą i wiedzą kanclerza „Związek flotowy" stał się miejscem centralnem dla całej agitacyi wyborczej. W To-

---

tem mówił O. Wasyl, bardzo się podobały archirejowi. Kazał on nam znowu przyjść do siebie, jak tylko otrzymamy odpowiedź na telegram.

Następnego dnia zachodziłem parę razy do biura telegraficznego, ale odpowiedzi nie było. Przeszło trzy doby i dopiero na 4-ty dzień około 10-tej rano depesza nadeszła. Otworzyłem ją bardzo wzruszony i czytam: „Posyłam ci moje błogosławieństwo, twój ojciec, Siła Sinegub."

Z radości chciało mi się pod sufit skakać. Stało się, jak przypuszczałem: brat, odebrawszy telegram, choć nie do niego adresowany, domyślił się zaraz, że właściwie on na niego ma odpowiedzieć, jako Siła Sinegub, więc natychmiast udał się na naradę z Anną Dmitrjewną i Czaruszinem, poczem wysłał depeszę, podpisawszy ojca.

Kiedym uszczęśliwiony zjawił się z tem telegraficznem błogosławieństwem w zajeździe, matka po raz pierwszy uścisnęła mnie jak syna, mówiąc: „Teraz nasz jesteś" i kazała bratu i siostrze Soni pocałować się ze mną, Soni zaś nietylko nie zabraniała, ale nawet gromiła ją, że niedość czule ze mną się obchodzi.

Około godziny 4-ej wybraliśmy się znowu wszyscy czworo do archireja. Dowiedziawszy się o nadejściu telegramu z błogosławieństwem ojca i stwierdziwszy to naocznie, archirej poprowadził nas do swej kaplicy domowej, kazał uklęknąć przed ołtarzem i relikwią św. Zofii pobłogosławił Sonię, a mnie już potem, kiedyśmy z klęczek wstali, udzielił zwykłego błogosławieństwa pasterskiego. Przy pożegnaniu podarował Soni dziesięć dukatów, wielką na owe czasy rzadkość.

Jakkolwiek wszystko szło dobrze, niepokoił mię przedłużający się nasz pobyt w Wiatce. Matka teraz dopiero zajęła się naprawdę wyprawą, obstalowaniem sukni ślubnej i garderoby. Kiedy to się skończyło, postanowiła wracać do domu z Sonią, ażeby przygotować wszystko do ślubu, który miał się odbyć bardzo prędko, za specyalnem pozwoleniem archireja. My zaś z O. Wasylem mieliśmy poczekać w mieście na ukończenie sukni ślubnej i z nią dopiero wracać. O. Wasylowi ten projekt bardzo się podobał. Uśmiechała mu się myśl pozostania tu bez żony, gdyż lubił pobawić się w towarzystwie kolegów, pośpiewać, wypić trochę, a matka zapatrywała się na te rozrywki surowo i uważała je za nieprzyzwoite dla stanu duchownego. Ale ponieważ mnie uważała za młodego człowieka skromnego, rozsądnego, niepijącego, więc zgadzała się zostawić O. Wasyla ze mną, w tem przekonaniu, że moja obecność będzie go w zażywaniu tych uciech krępować. Dla nas z Sonią taki układ rzeczy przedstawiał widoki niepokojące. Nam chodziło o to, żeby jak najprędzej wyjechać z domu; umówiwszy się więc pocichutku, zaczęliśmy prosić matkę, żeby nas na dwa tygodnie nie rozdzielała, gdyż i tak byliśmy dość długo w rozłące. Matka chętnie uległa prośbie, z upodobaniem przypatrując się naszemu gruchaniu, któremu w owe dni jeszcze goręcej usiłowaliśmy nadać charakter. Kłopot był tylko z sukniami: kto je odbierze? O. Wasyl utrzymywał, że w ostateczności on sam zostanie, ale nie tego chciała matka. Na ratunek zjawił się pop Mikołaj, który przyjechał w interesie do archireja i za półtora tygodnia miał wracać do domu; on obiecał wszystko przywieźć. O. Wasyl był niekontent, ale my z Sonią nadzwyczajnie radzi.

W tych ostatnich chwilach naszego pobytu w mieście zdarzyło się, żem się wygadał. Przyszedł do nas pop Mikołaj i zaczął mnie rozpytywać o poprzednią bytność moją w Wiatce, o poznanie się z Sonią. Przyszedł potem jakiś znajomy sę-

runiu podczas wyborów dodatkowych używano nawet wojskowych do rządowej akcyi. Większych bezprawi, niż przy wyborach ostatnich, nie znano dotychczas w państwie niemieckiem. Odpowiedzialność za to spada na kanclerza rzeszy.

Debatowano długo nad reformą procedury karnej sądownictwa. Rozprawy były bardzo ożywione i namiętne, a w końcu przybrały charakter osobistej polemiki między socyalistami a większością rządową, której wniosek o zamknięcie dyskusyi Izba odrzuciła wśród wielkiego poruszenia w kołach centrum, socyalistów, Polaków i wielkiej liczby wolnomyślnych, którzy odłączyli się od większości lojalnej. Szczególnie podkreślano upośledzenie robotników w sądach pruskich i saskich.

Zamianowanie nowego arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego ma nastąpić po zupełnem ukończeniu strajku szkolnego. W kołach półurzędowych obiegu pogłoska, że mianowany będzie Polak, lecz z „usposobieniem niemieckiem".

Sejm galicyjski cierpi chronicznie na brak czasu. Z tego powodu kwestyę reformy wyborczej do sejmu odroczono i postanowiono przygotować projekt reformy na sesyę jesienną.

Rozstrzygnięcie kwestyi ugody austro-węgierskiej ma nastąpić na takich podstawach: do roku 1917 będzie utrzymany stan istniejący, poczem zerwaną zostanie zależność ekonomiczna Węgier z pozostawieniem wspólności innych dziedzin jeszcze na lat 10. Są to atoli dopiero pogłoski, mniej lub więcej prawdopodobne.

Program konferencyi pokojowej, proponowany przez Rosyę, zawiera rewizyę konwencyi haagskiej o sądach rozjemczych w sporach międzynarodowych, uzupełnienie istniejących norm o wojnie lądowej, wypracowanie umowy, regulującej prawa i zwyczaje wojny morskiej, wreszcie kilka propozycyj, dotyczących stanowiska marynarki handlowej w wojnach morskich, oraz sprawy kontrabandy. W projekcie niema wzmianki o rozbrojeniu. Mimo to — pisze *Koln. Zeit.* — nie ulega kwestyi, że Anglia sprawę tę poruszy, co już samo przez się będzie bardzo ważne, choćby nie pociągnęło za sobą praktycznych rezultatów na tej konferencyi. Że zresztą inicyatywa Anglii w tym względzie spotyka się i na kontynencie z sympatyą miarodajnych żywiołów, o tem świadczy wniesiona w parlamencie belgijskim rezolucya, wyrażająca Anglii uznanie za szlachetne jej wystąpienie w sprawie rozbrojenia.

Fakt utworzenia w podbitej niedawno przez Anglię republice burskiej — rządu burskiego autonomicznego z bohaterem narodowym Burów, generałem Botha, na czele, stanowi jeden z licznych dowodów mądrości polityki angielskiej, która swą liberalną taktyką zdołała pozyskać dla siebie wszystkie kraje podbite i kolonie, powierzając im bez zastrzeżeń rządy wewnętrzne, autonomiczne. Mowa prezesa gabinetu transwalskiego, gen. Botha, wygłoszona na bankiecie, który ludność Pretoryi wydała na cześć ministeryum, dowodzi najlepiej celowości takiej polityki, jak angielska. Zapalony obrońca wolności swego narodu, bohater wielu bitew, dziś zapewnia zupełnie szczerze rząd angielski, że „ministeryum transwaalskie tak wysoko nieść będzie sztandar wielkobrytański, jak tylko jakiekolwiek ministeryum jest w stanie to uczynić. Mieszkańcy Transwaalu są przejęci głęboką wdzięcznością względem króla Edwarda, rządu angielskiego i narodu angielskiego za tak niebywałe zaufanie do ludności podbitej". W końcu Botha zapowiedział, że weźmie udział w konferencyi kolonialnej w Londynie.

Kur. Pozn. nazywa tę mowę „tryumfem mądrej i szlachetnej polityki, której Anglia zawdzięcza swój ogromny konglomerat kolonij, połączonych nie przymusem i siłą, ale wyrobionem poczuciem obywatelskiem przynależności do wielkobrytańskiego imperyum. Jak nędznie wobec tego wyglądają „sukcesy" niemieckiej polityki kolonialnej, która, jak wszędzie zresztą, umie tylko stosować bezwzględny gwałt i przymus".

ŻYCIE SPOŁECZNE

Luźne uwagi
o działalności towarzystw oświatowych

Sumaryczne „uwagi" o działalności towarzystw oświatowych zacząć należy sumarycznem rozpatrzeniem tego, co zdziałała dotychczas Macierz szkolna. Do kas jej, jak wiadomo, wpływają setki tysięcy, a ona za to funduje ludowi — szkoły... Wiele, bardzo wiele, podobno nawet około tysiąca szkół... „Macież rozwinęła działalność energiczniejszą od towarzystwa szkoły ludowej w Galicyi, a nawet od Macierzy czeskiej" — utrzymuje, kto?... *Kuryer Warszawski.*

Nie mam zamiaru podawać w wątpliwość autorytetu *Kuryera Warszawskiego*, ani też przeczyć temu, że istotnie Macierz warszawska rozwinęła działalność energiczniejszą od czeskiej. Tylko... małe pytanie. Ilu też w Czechach jest analfabetów? Z pierwszej lepszej encyklopedyi można się dowiedzieć, że około 4% ogółu ludności A ilu u nas? Hm, wiadomo... 80%. Więc co? Więc to, że choćby działalność naszej Macierzy była w czwórnasób energiczniejszą od działalności Macierzy czeskiej, to jeszcze będzie o wiele, o wiele zamało energiczną. Właściwie powinna być 20 razy energiczniejszą. Ale *właściwie* porównanie z Czechami jest zupełnie *niewłaściwe.* Bo w Czechach jest (bezmała) dostateczna liczba szkół i nauczycieli, a u nas niema ani jednych, ani drugich; albo, tak dobrze—jakby niebyło. Więc w Czechach działalność instytucyi oświatowej jest *uzupełniającą*, zastosowaną do potrzeb przyrostu ludności a u nas winna być *odrabiającą wiekowe zaległości*, zastosowaną nie do przyrostu naturalnego, lecz do całego wielomilionowego ogółu dorosłych i niedorosłych analfabetów. Stąd, sam system krzewienia oświaty u nas, musi być odmienny, niż... w Czechach!

U nas zakładanie szkół nie jest rzeczą główną. Szkołę początkową założyć można w każdej wiosce, prawie w każdym domu kosztem kilkudziesięciu rubli, ale—*kto w niej będzie uczył?*

Gdyby kierownicy Macierzy na samym wstępie swej działalności zadali sobie to pytanie i rozwiązali je naprzód—teoretycznie, to potem zupełnie w inny sposób rozwiązywali by *praktycznie* wielką kwestyę oświaty. *Przedewszystkiem* dążyliby do spełnienia tego oto zadania: *W możliwie prędkim czasie wykształcić możliwie liczny poczet nauczycieli szkół początkowych*, i — gdyby spełnili to zadanie, to sprawa krzewienia oświaty poszła by „gładko", o wiele gładziej, niż obecnie, gdy w założonych przez Macierz szkołach nie ma komu uczyć, nie ma komu krzewić tej oświaty!

Wykształcenie w możliwie prędkim czasie możliwie licznego pocztu nauczycieli ludowych — oto pierwsze i najważniejsze zadanie do spełnienia u nas.

Zadanie to wymaga zorganizowania choćby kilkunastu kursów pedagogicznych. Ale, prawda! Przecież „Macierz" założyła „coś w rodzaju" kursów pedagogicznych. Tak, tylko, że to „coś" wcale do kursów peda-

---

dzia pokoju, człowiek bardzo brzydki i nieśmiały i ten znowu zaczął mnie pytać, czy już byłem kiedy w Wiatce: „Nie, ani razu"—odpowiedziałem nieopatrznie. Był przy tem pop Mikołaj, ale zajęty szczęściem jakąś książką, odpowiedzi mojej nie słyszał; ja zaś jak mogłem najprędzej rozmowę sprowadziłem na inne tory. Sędzia wkrótce potem wyszedł.

Za powrotem do domu zacząłem prosić o przyspieszenie ślubu pod pozorem, że nie mogę ojca przetrzymywać zbyt długo w Petersburgu; ale pomimo próśb moich matka wcześniej jak za dwa tygodnie słyszeć o niczem nie chciała. Trzeba więc było pogodzić się z tem. Włożyłem sutannę, którą mi dał O. Wasyl, i oddałem się na pastwę nudzie. Kobiety zajęły się całkowicie szyciem bielizny i różnych innych rzeczy, podług nich niezbędnych dla panny młodej, mojem zdaniem zupełnie jej niepotrzebnych. Ja ofiarowałem ślubną chustkę jedwabną i prześliczne kwiaty sztuczne do wianka. Okazało się, że matka bez mojej wiedzy kupiła także w Wiatce chustkę i kwiaty—a teraz martwiła się, że pieniądze napróżno wydała. Ofiarowałem jeszcze mej narzeczonej złoty zegarek z łańcuszkiem, który pożyczyłem od R. zobowiązawszy się zwrócić po przyjeździe do Petersburga. Zegarek z łańcuszkiem jako też kwiaty i chustka bardzo podniosły mój urok narzeczonego w oczach wszystkich krewnych i domowych.

Wszyscy krewni—sami popi z żonami—zostali na wesele zaproszeni.

O. Wasyl zaczął z dwoma djakonami ćwiczenia pieśni weselnych w cerkwi. W ciągu tygodnia przynajmniej, co rano w bawialni zbierał się chór i rozlegał się śpiew, po którym następowało ugaszczanie przyjeżdżających w odwiedziny popów.

W jadalni i w innych pokojach założono szwalnię, w której brały udział i popadye przybyłe z mężami, między niemi tylko żona popa Michała wyróżniała się sympatyczną powierzchownością i rozwinięciem umysłowem.

Co do mnie nie wiedziałem, gdzie się podziać. Nie było co czytać; zostawałem więc w sali i słuchałem śpiewu, lub szedłem do pokoju jadalnego między kobiety i siadałem obok narzeczonej, dokuczając jej niekiedy i przeszkadzając w robocie. Trzeba też przyznać, że Sonia zaczęła wychodzić ze swej roli: zamiast coraz więcej okazywać mi miłości, częściej teraz przebywała z Tanią, niż zemną. Po całych godzinach zostawiała mnie samego, tak że i matka zaczęła zwracać na to uwagę i mówiła jej nieraz: „Idźże do narzeczonego. Ty z nim dziś, zdaje się, jeszcze ani jednego słowa nie zamieniła".

Wydało mi się takie postępowanie niewłaściwem, więc umówiliśmy się z Sonią, że około godziny 10-ej, w tej porze kiedy wszyscy udawali się na spoczynek, my będziemy schodzili się w sali na jaką godzinkę. Tu, w świetle, padającem od lampy z jadalnego pokoju, przechadzaliśmy się, rozmawiając półszeptem, a jeśli w oświetlonym pokoju ukazywała się matka albo ojciec, ja zaczynałam dość głośno całować własną rękę, co osiągało swój cel i łagodziło trochę chłodne obejście Soni zemną przy ludziach. Usłyszawszy te pocałunki, matka raz powiedziała do Soni wobec wszystkich kobiet: „Patrzajcie ją, jaka skromna; a niech zostanie sama z narzeczonym w ciemnej sali, to ciągle się całują".

(c. d. n.).

Tłom. z rosyjskiego.

gogicznych nie jest podobne. Na założonych przez Macierz kursach pedagogicznych uczy się stu — wyraźnie stu! — przyszłych nauczycieli szkół początkowych. Są to przeważnie młodzi ludzie, którzy ukończyli cztery klasy średniego zakładu naukowego i którym w ciągu 7-miu miesięcy każą powtórzyć kilkanaście „przedmiotów", wykładanych w szkole średniej, nadto, przyswoić sobie kilkanaście nowych przedmiotów, a między tymi specyalne, jak: psychologia wychowawcza, dydaktyka, i t. p.

Czy umysł młodego czteroklasisty może podołać takiej pracy w ciągu 7 miu miesięcy i czy conajmniej połowa tych wszystkich „przedmiotów" nie jest zupełnie zbytecznym balastem?

W dodatku zapomniano—o najważniejszem, bo o *praktycznem kształceniu* przyszłych nauczycieli! Organizować w ten sposób kursa pedagogiczne — oto, co się nazywa błądzić po manowcach pedagogicznych! Nie mam zamiaru rozwodzić się tutaj o tem, jakiemi, zdaniem mojem, powinny być kursa pedagogiczne—o tych ostatnich pisałem wielokrotnie w różnych pismach, między innemi w październikowym zeszycie pierwszego rocznika *Nowych Torów*, ponieważ zaś poglądów co do tej sprawy nie zmieniłem, przeto pozwalam sobie łaskawego czytelnika odesłać do artykułu pomieszczonego w rzeczonem piśmie.

Powiedzmy otwarcie: Macierz posiada, jak na nasze stosunki, środki pieniężne wprost kolosalne, ma sympatyę (!), zaufanie prawie całego ogółu i—sterowaną jest nieudolnie. Niesłychane wprost zaniedbanie w ciągu lat stu zgórą oświaty ludu ze strony rządu rosyjskiego, wymagało ze strony pierwszej (!) naszej instytucyi oświatowej niesłychanego również wysiłku właśnie w kierunku krzewienia wśród ludu oświaty, domagało się (i oczywiście — domaga!) natychmiastowego powołania do życia pogotowia ratunkowego. W zorganizowaniu takiego pogotowia nie mogło być innej myśli przewodniej, tylko ta: w możliwie prędkim czasie wykształcić możliwie liczny personel nauczycieli. W tym właśnie celu należało przedewszystkiem założyć kilkanaście kursów pedagogicznych, ale takich, któreby w ciągu jednego roku wykształciły conajmniej kilkuset *godnych tej nazwy nauczycieli szkół początkowych.* Tego Macierz nie spełniła i spełnić, zdaje się, nie zamierza.

Trzeba powtarzać do znudzenia: najważniejszem zadaniem t. z „akcyi oświatowej" u nas jest kształcenie nauczycieli szkół początkowych. Jest to warunek zasadniczy, bez niego cała „akcya oświatowa", choćby była podjętą przez ludzi ożywionych najlepszemi chęciami, bądź zupełnie chybi swego celu, bądź zdążać będzie do niego niesłychanie wolno. Ktoby wątpił o tem, tego przekonać może przebieg dotychczasowej działalności „Stowarzyszenia kursów dla analfabetów dorosłych".

T. k. d. a. d. w pierwszym, krótkim okresie swego istnienia, poprzedzającym uprzejmą interwencyą generał-gubernatora wojennego, który, jak wiadomo, zamknął je w pamiętnym Grudniu 1905-go r., pragnęło zwalczać analfabetyzm za pośrednictwem i przy pomocy *każdego*, chętnego podjęcia tej walki. Odpowiedni paragraf ustawy brzmi dosłownie: „Nauczycielem (nauczycielką) kursów może zostać każdy, (każda) pragnący podjąć się tego obowiązku—o ile zechce korzystać ze wskazówek komisyi naukowej".

Ale snać już w owym pierwszym, krótkim, okresie działalności *przekonano się*, że nie „każdy" i nie „każda" potrafi dobrze uczyć—i że wskazówki Komisyi naukowej, niewątpliwie doskonałe i stosowne dla zawodowych pedagogów a nawet i dla niespecyalistów, o ile są ludźmi wykształconymi, nie wystarczają, ażeby z zupełnie pod danym względem surowego materyału uczynić dobrych nauczycieli — „choćby" tylko czytania, pisania i arytmetyki.

Więc na wiecu, odbytym w Czerwcu r. z. (1906-go), którym to wiecem T. k. d. a. d. rozpoczęło drugi okres swej działalności, słyszeliśmy, że już nie „każdy", (bez wyjątku) powołany jest na nauczyciela, ale „każdy, *posiadający odpowiednie uzdolnienie*".

Sądzę, że gdyby ów słaby punkt ustawy uległ zmianie radykalnej, gdyby, mianowicie, uchwalono: „Nauczycielem (nauczycielką) kursów dla analfabetów dorosłych może zostać każdy, posiadający wykształcenie conajmniej 4-o klasowe, po *ukończeniu kursu przygotowawczego*" — to oszczędzono by sobie przykrych rozczarowań. Kursa zaś przygotowawcze dla nauczycieli kursów mogłyby być krótkie (6 cio tygodniowe, lub dwumiesięczne), ale systematyczne i zorganizowane koniecznie w połączeniu z uczelnią dla analfabetów — to ostatnie w tym celu, ażeby przygotowujący się na nauczycieli mieli możność odbywania praktycznych ćwiczeń. Sądzę, że w ten sposób zapobieżono by, *dającemu się obecnie odczuwać, brakowi nauczycieli* (Patrz artykuł p. Wł. Weychertówny „O kursach dla analfabetów dorosłych" w zeszycie styczniowym *Nowych Torów* z r. b.).

Bo teraz wcale już mowy nie ma o tem, ażeby „każdy" i „każda" mogli uczyć. Teraz główna troska Stow. k. d. a. d. polega na wyszukiwaniu zawodowych pedagogów, którzy pragnęliby się podjąć obowiązku za 20 rb. miesięcznej gaży (patrz pomieniony artykuł p. Weychertówny) i których, oczywiście, niewielu się znajduje, i na przygotowywaniu już spełniających swe funkcye nauczycieli. Temu ostatniemu możnaby przyklasnąć, gdyby przygotowywano systematycznie.

„Akcya oświatowa" u nas podjętą została w sposób chaotyczny, gorączkowy—bez planu.

Milion „dobrych chęci", ocean zapału—nawet nie słomianego, lecz trwałego, o niesłabnącem napięciu—ale to wszystko, jak słusznie zauważyła p. Weychertówna, zaledwie zadosyćuczynić może konieczności oświecania *przyrostu ludności.*

W ten sposób prowadzona „walka" z analfabetyzmem ciągnąć się może—wieki!

Zapomniano o rzeczy najgłówniejszej — o kształceniu nauczycieli.

Zapomniano, że wielkich bitew nie wygrywa się—bez planu.

Tego, od czego cała „akcya oświatowa" winna się była zacząć—mam, rozumie się, na myśli zorganizowanie kursów pedagogicznych—zaniechano.

Kursa pedagogiczne dla nauczycieli szkół początkowych założyć koniecznie należy i to bez zwłoki, bo już doprawdy wielki czas, ażeby walkę z wszechwładną u nas „potęgą ciemnoty" zacząć prowadzić, nie „po partyzancku", jak dotychczas. Założeniem zaś takich kursów mogłaby się zająć, każda z wymienionych powyżej, czy niewymienionych, instytucyi oświatowych.

D. Żółtyński.

Listy z Francyi.

Strajk robotników elektrycznych.

Minęło już kilka dni od zakończenia strajku w elektrowniach, a jednak paryżanie nie ochłonęli jeszcze z silnego wrażenia, jakie fakt ten wywołał. Zajmuje on nietylko publiczność i prasę, ale i parlament oraz Radę miejską. Wistocie strajk ten trwający zaledwie 32 godziny, miał wiele cech całkiem odrębnych, rzec można nowych i dlatego zasługuje na bliższe poznanie i rozpatrzenie.

Historya, wynikłego obecnie zatargu pomiędzy przedsiębiorcami a robotnikami, jest następująca.

Dostarczaniem elektryczności dla miasta zajmowało się sześć towarzystw, które dzieliły pomiędzy siebie Paryż na sześć okręgów. Ciągnęły one zyski olbrzymie, pobierały bowiem aż po 15 centimów za hektowatt, wtedy kiedy w Berlinie cena nie przenosi 5 centimów. Co do warunków pracy, to wyświetlił je strajk w lutym 1905 r.: dzień roboczy trwał do owego czasu 12 godzin, bywały jednak wypadki, że „produkcya wymagała", jak zwykle mówią pracodawcy, — 24-ch godzin, a nawet niekiedy i 36-u godzin pracy. Rezultatem strajku, w którym brała udział nieznaczna ilość robotników, było skrócenie dnia roboczego do 10-u godzin — bez zmniejszenia płacy, oraz uzyskanie dwóch dni na miesiąc wypoczynku, niewytrącanego z płacy. Wtedy też postawioną została poraz pierwszy kwestya emerytur dla robotników elektrowni.

Obecnie zbliżał się termin końca koncesyj trzech towarzystw, a za rok — dwóch innych. Dyskutowano przeto już od lat 4-ch, zarówno w Radzie miejskiej jak i w związku zawodowym robotniczym, jaką formę przybierze dalsza produkcya elektryczności. Oczywiście najkorzystniejszem nietylko dla pracowników, ale i dla konsumentów byłoby objęcie przez miasto samo tego korzystnego przedsiębiorstwa. W lipcu r. z. kwestya ta w Radzie miejskiej po długich dyskusyach została odrzuconą, a o nową koncesyę zaczęło się ubiegać z jednej strony towarzystwo, powstałe ze zlania się dawnych, z drugiej zaś potentaci przemysłowi Schneider, słynny właściciel odlewni żelaza w Creuzet, oraz Milde, wielki fabrykant przyrządów elektrycznych w Paryżu. Schneider i Mildé w ofertach swoich zobowiązywali się złożyć odrazu $3^1/_2$ miliona franków na kasę emerytalną, oraz dostarczać elektryczności po 5 centimów za hektowatt, konsorcyum zaś złożone z dawnych towarzystw deklarowało cenę 7 c.

Niebawem jednak postać rzeczy się zmieniła: dwaj współzawodnicy porozumieli się i rada miejska znalazła się wobec jednego tylko towarzystwa, które zobowiązywało się dostarczać elektryczności po 8 c. i zamiast złożyć $3^1/_2$ mili. fr. na kasę emerytalną, ofiarowywało 8% od płacy. Przedstawicielem i pełnomocnikiem tej nowej kompanii był Sartiaux, znany dyrektor kolei północnej.

Z góry można było przewidzieć, że w takich rękach złożony interes będzie złotodajną żyłą dla przedsiębiorców, ze szkodą zarówno miasta i konsumentów, jak też i pracowników. Dodać tu jeszcze trzeba, że niezależnie od zysków, jakie przynosiła by sama produkcya, wszyscy uczestnicy owej spółki porobią świetne geszefty: Schneider będzie dostarczał swoich maszyn, Mildé przyrządów, Rotszyld — główny akcyonaryusz, w skromności swej starannie się ukrywający — węgli ze swej kopalni, a nakoniec dawni akcyonaryusze mieli odprzedać całe stare urządzenie, ogólnie uznane za kwalifikujące się do bezwartościowych rupieci.

Słowem nowa kompania wyraźnie dąży do olbrzymiego trustu, mającego obracać kapitałem 200,000,000 fr.

A teraz zwróćmy uwagę na to, jakim byłby udział robotników w tem kolosalnem przedsiębiorstwie.

Już przed czterema laty, gdy w komisyach Rady miejskiej zastanawiano się nad tem, jak uregulować produkcyę elektryczności, gdy skończy się udzielona koncesya, robotnicy złożyli na ręce radcy Rozier opracowany w syndykacie memoryał, zawie-

rający żądane przez nich reformy. Rozier, uwzględniwszy zupełnie ich słuszność, przedstawił je na posiedzeniu Rady miejskiej, która je znaczną większością głosów przyjęła.

Żądania te były następujące: zrównanie w prawach robotników elektrowni z robotnikami miejskimi, zachowanie całego personelu na zajmowanych posadach, ustanowienie komisyj rozjemczych, umowy zbiorowe, oraz prawo do emerytury dla wszystkich prawomocne wstecz, to znaczy bez względu na to, że dotychczas nie był im potrącany procent należny do kasy emerytalnej.

Robotnicy mieli słuszną racyę spodziewać się, że skoro Rada miejska raz uznała żądania ich za uzasadnione, to bez względu na to czy ona sama obejmie monopol elektryczności, czy nowi przedsiębiorcy, — miasto postawi przy umowie powyższe warunki. Tymczasem Sartiaux oświadczył, że wielu z nich przyjąć nie może, jak np. umów zbiorowych i komisyj rozjemczych, a co do emerytur, stanowczo niedopuści owego rachowania wstecz a jedynie na przyszłość. Oświadczył nadto, że projektowane udoskonalenia w produkcyi elektryczności będą wymagały zmniejszenia personelu dotychczasowego oraz nie przyjmowania do pracy tych z pomiędzy dawnych, którzy w obecnej chwili odbywają powinność wojskową.

Jasnem było, że pragnie on z personelem tak się obchodzić, jak na kolei północnej, gdzie panując jak udzielny władca nad 45 tysiącami pracowników, nie zwykł się liczyć z ich żądaniami i istotnemi potrzebami (niektórzy robotnicy zarabiają tam po 1 fr. 25 c. dziennie za pracę 14 do 16 godzin).

Łatwo przeto zrozumieć zaniepokojenie, z jakiem robotnicy elektryczni oczekiwali, co postanowi Rada miejska i czy zgodzi się na propozycyę Sartiaux, który narzucając jaknajtwardsze warunki, żądał koncesyi aż na 26 lat. Syndykat robotników elektrycznych bacznem okiem śledził, jak idą pertraktacye i wysyłał delegatów zarówno do rady miejskiej jak i do Sartiaux, żądając uwzględnienia swych żądań, a niezależnie od tego, od czterech miesięcy istniał komitet strajkowy, wysadzony przez cztery związki zawodowe elektryków.

Rada miejska miała powziąć ostateczną decyzyę na posiedzeniu w d. 8 b. m., robotnicy jednak, widząc że Sartiaux nie chce poczynić żadnych ustępstw, a Rada skłania się do zaakceptowania warunków nowego konsorcyum z pominięciem żądań robotników, ogłosiła 7 marca strajk. Rano pojawił się na rogach ulic manifest zwrócony do Rady miejskiej, lecz niezapowiadający strajku, o godzinie zaś 5-ej popoł. elektrownie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, opustoszały... Gorejące od potoków światła bulwary okryła ciemność, w kawiarniach goście zapalali świece, oprawiając je w butelkach lub kartoflach, nikomu na myśl nie przychodził strajk, sądzono jedynie, że to chwilowa przerwa kapryśnych prądów elektrycznych. Wkrótce jednak wiadomość o strajku z telegraficzną szybkością obiegła całe miasto; opowiadano sobie rzeczy nadzwyczajne, zrodzone w bujnej imaginacyi, rozdmuchiwano trwogę i oburzenie przeciw tej garstce około tysiąca pracowników, którzy zapragnęli polepszenia swej doli.

Wszystkie niemal teatra musiały zrezygnować z przedstawień, ale zato handlujący naftą i świecami porobili wspaniałe interesa, pomysłowość francuska objawiła się w tak wielkiej rozmaitości oświetlenia, że miasto przedstawiało widok nader oryginalny. Najtrudniej zaś było zaradzić w drukarniach, które pozbawione motoru elektrycznego nie mogły odbijać gazet. Nazajutrz rano pojawiły się jedynie Petit Parisien, Petit Journal i Humanité, dwa pierwsze mające własne maszyny, trzecia zaś dzięki dobrej woli drukarzy, którzy ręcznie odbijali przy świetle świec. Inne pisma wyszły ze znacznem opóźnieniem i w zmniejszonych rozmiarach, nie próbując nawet ukryć swej wściekłości na robotników elektrycznych. To też nigdy chyba strajk w Paryżu nie wywołał tak wrogiego nastroju w prasie; nawet organy radykalne wyrażały naganę i domagały się od rządu zastąpienia personelu wojskiem, na co też Clémenceau się zgodził i odpowiednie rozporządzenie bezwłocznie wydał.

Robotnicy zaś, opuściwszy pracę skierowali się do giełdy pracy, ale ta z rozkazu prefekta została zamkniętą, zebrali się przeto na dziedzińcu domu, zajmowanego przez Konfederacyę pracy i tam przy świetle kilku lampek w półmroku słuchali w skupieniu przemówień swych towarzyszów.

Strajk ten rozbudził ogólne zdumienie, gdyż nic go nie zapowiadało, nie było żadnej agitacyi, żadnych mityngów, żadnych przygotowań, a jednak objawił się z zadziwiającą wprost solidarnością i zgodnością. Ten właśnie fakt, że z pomiędzy tysiąca przeszło pracowników nikt nie wygadał się i że znalazło się zaledwie 30-u którzy pracy nie opuścili, komentowany był przez całą wsteczną prasę, nawołującą do jaknajostrzejszej represyi i do rozwiązania Konfederacyi pracy.

Delegacya strajkujących przedstawiła swe żądania prefektowi departamentu Sekwany, a po uroczystem jego zapewnieniu, że zostaną one uwzględnione przy umowie z nowem konsorcyum, robotnicy elektryczni zdecydowali tegoż wieczora jeszcze, 8 marca, powrócić do pracy.

O godzinie 11-ej przeto fale światła zaczęły zalewać miasto i życie, chwilowo jakby zatrzymane, wróciło z podwojoną energią i siłą.

Gdy jednak w trzy dni później dep. Jaurès w podniosłej mowie zainterpelował rząd, że wezwanie wojska wówczas, gdy strajkujący niedopuścili się żadnego nadużycia, ani gwałtu, jest negacyą prawa strajku, dyskusya zakończyła się zwycięstwem rządu; zaledwie bowiem 68 głosów wyraziło się za Jaurès'em, a 378 za pochwałą dla rządu.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa niektórym żądaniom robotników będzie zadośćuczynione; komitet strajkowy nie został rozwiązany, zadaniem jego czuwać nadal, aż do chwili podpisania koncesyi.

Iza Zielińska.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Pomyślne wróżby.

Nie pojmujemy, dlaczego to pozostało tajemnicą, że nowowybrani członkowie Koła polskiego przed wyjazdem do Dumy zredagowali w Warszawie... odpowiedź na mowę tronową. Ponieważ nasi „statyści" tej mowy nie znali, ponieważ jej wcale nie było, ponieważ nie oni by na nią odpowiadali, więc ktoś lekkomyślny mógłby z tego zmarnowanego i bezcelowego trudu wyciągnąć niekorzystny wniosek o ich inteligencyi. Byłoby to jednak grubą niesprawiedliwością. Wiadomo przecież, że oficerowie, zanim wystąpią do rzeczywistego boju, uczą się przedtem staczać bitwy na mapach lub na manewrach. Otóż taką fikcyjną kampanię rozegrali nasi „przewodnicy narodu". Podobno rezultat wypadł świetny: strategowie narodowo-demokratyczni rozwinęli taką pomysłową taktykę, okazali przytem takie zdumiewające męstwo, że gdyby mowa tronowa była wygłoszona i gdyby oni na nią odpowiadali, dowiedliby światu, kim są i do czego są zdolni. Zapewnie dzięki tej sławie, która skutkiem zastrzeżonej przez P. P. P. w warunkach koncentracyi „jawności obrad Koła polskiego" przedostała się na zewnątrz, kadeci — jak donosi reporterya — „zmienili front" i „oglądają się na naszą zwartą reprezentacyę" a ten ich respekt udzielił się nawet pułapowi Pałacu Taurydzkiego, który spadając i niszcząc prawie wszystkie siedzenia, pozostawił — według tejże reporteryi — „nietknięte tylko fotele prezesa i wiceprezesa Koła polskiego". Co prawda, może być w tem również zasługa nieba: na pierwsze bowiem zebranie Dumy przybyli najpóźniej nasi posłowie, gdyż zatrzymało ich „słuchanie mszy św." Wobec tych dowodów i rękojmi powodzenia przypuszczać wolno, że chociaż ci „posłowie polscy — według *Gazety polskiej* — stanowią *quantité negligeable* większości Izby", „potrafią oni niewątpliwie (co to za boska logika!) odegrać poważną rolę polityczną". Niedość tego. „Rosyanie nauczą się słuchać głosów polskich, widząc, że rozlega się on (?) rzadko, wyłącznie w ważnych momentach". Wiedzmy, że trzymamy w ręku miecze Brennusów. Moglibyśmy więc spokojnie oczekiwać uroczystej chwili, kiedy owe głosy „rozlegną się po raz pierwszy w sali" i zyskają „doniosłe znaczenie", gdyby nie przeklęta Demokracya Postępowa. Ona przecież urządza w Petersburgu „biuro informacyjne", które ma snuć „intrygę przeciwko Kołu polskiemu". Ale — mówiąc poufnie — nie bierzmy tej groźby zbyt tragicznie, mimo że na jej rachunek prasa narodowo-demokratyczna wpisuje ciągle swoje łgarstwa. Jest to bowiem papierowy konik, w którym siedzi ukryty chuligan, nadający mu życie: ile razy kadeci odwrócą się do jego towarzyszów tyłem, zaraz on rży, wspina się i galopuje; ile razy znowu odwrócą się przodem, stoi spokojnie i gryzie sianko. Jeżeli przeto naszym Jazonom uda się zdobyć w Dumie bodaj kłaczek złotego runa, powrócą do kraju łodzią, a jeśli nic nie otrzymają, przyjadą na tym koniku. Trudno, przebaczamy im tę sztuczkę. Przecież to nasi bracia — a i oni żyć muszą.

Maleńki wyłom.

„Koło posłów Polaków konstytucyonalistów Litwy i Rusi" ogłosiło swój regulamin. Jakkolwiek spaja je również obręcz „solidarności", ale już nie tak gruba i nie tak krępująca, jak w Kole Królestwa polskiego. Członkowie na wypadek niezgody z większością nie potrzebują składać mandatów, odłączywszy się, mogą występować samodzielnie, w kwestyi agrarnej zachowują swobodę zdania i t. d. Regulamin ten wymagałby jeszcze wielu zmian, ale stanowi już coś, co nie urąga zdrowemu rozsądkowi, co nie jest bezcelną majoryzacyą i gwałtem, nad czem można dyskutować. Tymczasem rygory Koła z Królestwa mogą być przyjęte tylko przez jedno stronnictwo i ich korną czeladź i tylko w społeczeństwie tak niedojrzałem, jak nasze, mogły się stać hasłem popularnem. To baranie hasło straci wkrótce swój kredyt, gdy śród naszych wyborców zmniejszy się ilość baranów. Regulamin delegatów polskich z Litwy i Rusi stanowi, chociaż maleńki, ale pocieszający wyłom, który jest niewątpliwym skutkiem ataków postępowych na chiński mur Demokracyi Narodo-

wej, zabezpieczający jej bezkarną gospodarkę i egoistyczne interesy.

Wielka mowa p. Harusewicza.

Według sprawozdań prasy narodowo-demokratycznej, vice-prezes Koło polskiego rzekł: „Szulgin powiedział, że cała zachodnia część Besarabii i Warszawy wre nienawiścią do Żydów. Szulgin się pomylił; mówił o kraju i o narodzie, którego nie zna“. Po czem przyleciał telegram do *Kuryera Warszawskiego* „Harusewicz okazał się pierwszorzędnym mówcą parlamentarnym".

(Przypuszczalnie p. H. napisał do *Kuryera* poufny liścik: „Na Boga, nie tak gwałtownie podrzucajcie mnie w górę“).

Walka o szkołę.

Rozegrała się znowu jedna z tych pociesznych komedyjek, które należą do stałego repertuaru naszych *Varietes* dziennikarskich, dających przedstawienia w *Kuryerze Warszawskim.* Pismo to mianuje się bezpartyjnem politycznie, a więc: zamieszcza odezwy narodowo-demokratyczne w całości i drukiem grubym, a postępowe w skróceniu i drukiem drobnym; zamilcza prawdziwe fakty i opinie, kompromitujące naszą rodzimą chuliganię a zapisuje skrzętnie wszelkie plotki, kłamstwa i oszczerstwa, krzywdzące naszą demokracyę; oświetla bengalskim ogniem tych, co „zmuszeni są przelewać krew bratnią" i „stwarzać jedność siłą", a rzuca cienie na demokratów postępowych; chwali swojskich „czcicieli Bismarka i komisyi kolonizacyjnej" a poszturguje polityków, pragnących zdobyć autonomię dla kraju przy pomocy ruchu reformatorskiego w Rosyi; podnosi pod niebiosa wycieczkę dwóch narodowych demokratów do Łodzi, którzy założyli tam „gniazdo"—t. j. zostawili pusty frazes—dla dzieci robotników a lekceważy działalność komitetu, który zebrał dla nich przeszło 8,000 rb. i t. d.

Związek nauczycielski ogłosił protest przeciwko hodowaniu polityki w szkole a jego ostrze zwrócił głównie ku księżom, którzy urządzają w niej prawdziwe orgie propagandy klerykalnej. *Kuryer warszawski*, zamieściwszy tą odezwę i replikę na nią, zastrzegł, że wkrótce wypowie własne zdanie w tej sprawie. Wiadomo zgóry i nieomylnie, na którą stronę przechyli się ten bezpartyjny organ, ile razy do sporu wchodzi „czcigodny kapłan" nawet najmniejszego kalibru i najmizerniejszej wartości; więc możemy pominąć owo własne, bezstronne zdanie *Kuryera.* Natomiast winniśmy podać do szerszej wiadomości zamieszczony w tem piśmie dla wzmocnienia „bezstronności" głos ochotnika starej „ugody", b. współpracownika *Kraju*, dytyrambisty poetów rosyjskich, p. W. Gomulickiego. Mąż ten, który słusznie nienawidzi postępu, jako „pełnej dziur, przez pozytywistów już znoszonej szmaty", bo kiedyś był przez nich za tę szmatę długo i srodze ośmieszany, powiada: Pojęcie kleru jest bardzo rozciągłe—od stanu duchownego do zbrodniczości Torkwemady i zbrodniczości mnichów. „Ale ta rozciągłość *nie istnieje i nie może istnieć* w obrębie szkoły". Dlaczego? Oto dlatego, że... „nauczyciel religii jest osobistością *już z charakteru swego czcigodną*" (Motyw z niedawnych wyroków: „wół nie mógł wleźć w dworską koniczynę, bo był wygnany na chłopski paśnik"). Obecna szkoła — rozumuje dalej p. G.—nie ma kierunku etycznego. To też „*cały* olbrzymi ciężar kształcenia dusz, uszlachetniania serc, podnoszenia umysłów nietylko do gwiazd, lecz i po nad gwiazdy, spoczywa na barkach *tego jednego*, nieszczęsnego (!!) przedstawiciela kleru". (Był już w naszej historyi okres, kiedy ten jeden nieszczęsny przedstawiciel podnosił umysły do gwiazd i po nad gwiazdy tak skutecznie, że one nie mogły się przyczepić nawet do ogona kultury europejskiej). „Jeżeli kiedykolwiek religia będzie usunięta ze szkoły, wówczas — krzyczy p. G.—niech taka szkoła w ziemię się zapadnie". Ponieważ ta okropność już dokonywa się w najoświeceńszych krajach i nie wywołała trzęsienia ziemi, prawdopodobnie i u nas kiedyś nastąpi bez kataklizmu. Przeciwnie, wtedy dopiero szkoła wyzwoli się, będzie istotnym przybytkiem nauki, niezależnym od walk i zgiełku życia. Jeżeli dziś w niej trwa ciągłe wrzenie, ciągły zamęt, to tylko dzięki agitacyom kleru. Religia nie jest nauką, lecz wiarą nikogo nieobowiązującą. Niech sobie księża, popi, pastorowie, rabini, mułłowie, szamani posiadają swobodę wykładu swych dogmatów, ale niech im szkoła nie daje do tego miejsca, a władza – przymusu. Dotychczasowe ich przywileje są starym, krzyczącym gwałtem, który ludzi prześladuje od kolebki do grobu, który wytwarza najstraszniejsze cierpienia i najpotworniejszą obłudę.

Kobiety a samorząd.

Wiec, a raczej szereg odczytów na temat: „Samorząd z równoprawnym udziałem kobiet w Muzeum przemysłu i rolnictwa zgromadził niezbyt liczną ,publiczność, wyłącznie niemal kobiecą z silną przewagą młodzieży. To wpłynęło może na przemawiających, którzy nie chcąc nużyć słuchaczy, unikali szczegółowego traktowania przedmiotu, poprzestając na ogólnikach. Część referentów nie dopisała, co oczywiście ujemnie znowuż odbiło się na treści wiecu.

P. Kuczalska omawiała udział kobiet zagranicą w samorządzie i dodatnie rezultaty ich pracy w dziedzinie szkolnictwa i hygieny publicznej. Komisya edukacyjna powierzyła u nas również nadzór nad szkołami żeńskiemi kobietom. Krytykując projekt samorządu Suligowskiego za pozbawienie kobiet bezpośredniego prawa wyborczego, referentka na licznych przykładach wykazała niekonsenkwencyę, zachodzącą między życiem a kodeksem cywilnym, odmawiającym praw kobiecie. To, co w dobie wielkich przewrotów nie zostało zdobytem, osiągnąć później zazwyczaj bardzo trudno — świadczy o tem najlepiej historya praw kobiet — to też w chwili obecnej, momencie przełomowym, kobiety wytężyć powinny, zdaniem mówczyni, wszystkie siły celem zdobycia praw, do czego wstępem będzie dopuszczenie do udziału w samorządzie. Po krótkiem omówieniu akcyi kobiet rosyjskich w tym kierunku referentka odczytała memoryał uzasadniający konieczność współpracownictwa kobiet w samorządzie, przygotowany jeszcze w 1895, który po zebraniu odpowiedniej ilości podpisów ma być wniesiony.

Następnie wiec uchwalił poprzeć działalność dwóch organizujących się Związków równouprawnienia kobiet.

Oklaski żywe zbierał p. Belmont za charakterystykę tych sił społecznych, jakiemi rozporządzamy dla osiągnięcia naszych postulatów prawno-politycznych. Krytyce uległy więc wszystkie partye polityczne, ich programy autonomii i działalność, tudzież stan kulturalnego przygotowania społeczeństwa. Wiec był ostatnim z seryi poświęconych sprawie kobiecej, spodziewana w krótkim czasie legalizacya obu związków pozwoli dopełnić dzieła rozbudzenia społecznej i politycznej myśli kobiet.

W. H.

Metody poprawcze.

W kraju dumnym z tysiącoletniej kultury, opodal miasta, zajmującego siódme miejsce w rzędzie największych skupień ludności na kontynencie europejskim, któremu El. Reclus prorokuje, że stanie się przyszłem emporyum świata handlowego, stolicą Zjednoczonych Stanów europejskich — istnieje zakład poprawczy dla chłopców, moralnie zaniedbanych, utrzymywany z ofiar publicznych, w którym personel zatrudniony biciem wychowańców, nie licząc felczera, cucącego omdlałych pod chłostą, wynosi 6 osób, t. j. 2 stróżów, przeznaczonych do trzymania głowy, 2 do trzymania nóg, a 2 do bicia. Rezultatem tego daleko posuniętego podziału pracy jest sprawność nieladajaka; rózgi bowiem wbijają się w ciało, krew tryska pod sufit, blizny ran sięgają aż do przodu bioder. „Karze chłosty" ulegało w ostatnich 5 latach przecięciowo 30% wychowańców. Bito za... palenie papierosów (17 wypadków na 59 ochłostanych w 1889), za bójki, figle, sprzeczki (11 razy w tymże roku) przekroczenie regulaminu (8 razy), łakomstwo (!), próby ucieczki i t. p. przestępstwa. Rozwój specyalizacyi kar doprowadził do rozróżnienia aż 16 stopni; ostatni, kara rózgi, podzielony został na 3 rodzaje: bicia na osobności, wobec wychowawców, wobec całej osady. Postęp w różniczkowaniu się systemu uwydatniała doskonale zmniejszająca się ustawicznie liczba... *niekaranych*; w 1898 wynosiła ona 86, w następnych zaś latach do 1904: 66, 56, 46, 35, 22, 22. Temu bogactwu wyboru przypisać zapewne należy rozwój niezwyklego smakoszostwa w karach, jaki uwidocznił się we wzroście liczby recydywistów karanych 3 do 6 razy na tydzień; w 1902 r. mianowicie ukaranych recydywistów było 10, a w 1901 już 79. Wyjaśniającą okolicznością dla przekonanych o przewrotności natury ludzkiej będzie fakt, że dziecko, by dostać śliwkę, kraść ją musiało z sadu; wobec tego łakomstwo wrodzone znaleźć mogło ujście tylko w delektowaniu się różnego rodzaju karami.

Podobnie, jak owoców, niewolno było również dzieciom, nawet najmniej rozwiniętym, dawać mleka. Koszt utrzymania dziecka w zakładzie wynosi 10 do 23 groszy. Śniadanie składa się z kiszonej mąki, obiad i wieczerza trzy razy tygodniowo z kaszy jęczmiennej, a trzy razy dają mięso po 3 łuty na osobę. Złą naturę wychowańców widocznie prócz chłosty poskromić się starano postem, jakkolwiek w podobnych zakładach, pod innym tylko stopniem geograficznej szerokości, przyjęto za zasadę, że o ile dziecko, wychowane w alkoholizmie i nędzy, ma się poprawić, należy wpływać na rozwój fizyczny i moralny, wzmacniając jego siły przez odpowiednie pożywienie. Warunki hygieniczne zakładu ilustruje brak jadalni i sali szkolnej: dzieci uczą się a zimą i jedzą w sypialni.

Prócz postu uznaniem wychowawców interesującego nas zakładu cieszy się także wytężona praca; trwała ona w 1905 r. 15 do 16 godzin na dobę, tak dla chłopców 10, jak i 15-letnich. Wszystkie czynności dokonywane być musiały na sygnał trąbki, 13 razy rozbrzmiewającej w ciągu dnia; wychowaniec nie miał ani jednej wolnej chwili. Rozpacz, pchająca do wciąż ponawianych ucieczek, musi być naturalnym skutkiem tego więzienia dusz; to też w 1904 roku uciekało 39, w następnym 108.

W czasie, kiedy to przesunąć się miały najgłębsze pokłady duszy społeczeństwa, utrzymującego ów zakład, w roku, w którym torowano nowe drogi dla sprawy wychowania—w zakładzie dla dzieci nędzarzy wybuchł strajk. Może spać im nie dały laury bohaterstwa, świeże jeszcze na skroniach rówieśnej młodzieży, lecz... *si duo*

faciunt idem, non est idem. Strajk nazwano buntem, widziano w nim postęp szerzącej się anarchii. Wychowańcy w petycyi wręczonej zwierzchności na pierwszym miejscu domagali się... częstszych wizyt spowiednika, który ostatnio był przed 16 miesiącami; na drugim—zmniejszenia liczby godzin pracy o 3; dalej polepszenia jadła; punkt czwarty domaga się zniesienia kar cielesnych i mówi: że my, dzieci bez dozoru, jesteśmy niegrzeczne i bijemy się na każdym kroku, to zrozumiałe, lecz dlaczego ludzie wykształceni muszą nas bić...

Ten bunt poskromiła siła zbrojna, uśmierzyło krwawo wojsko.

Zakładem tym jest zakład studzieniecki, krajem łożącym nań: Królestwo polskie, miastem ogniskującem opinię kontrolującą: Warszawa. *h.*

BADANIA NAUKOWE

Z nowych kierunków reform społecznych.

Dobec powierzchownego, czy też poważnego zainteresowania się publiczności warszawskiej sprawą reformy małżeństwa będzie na czasie zaznajomienie szerszego koła czytelników z niektóremi dążeniami tego rodzaju, jakie w życiu społeczeństw cywilizowanych i oświeconych ujawniają się w dobie bieżącej. Wychodząc z założeń i wywodów przyrodniczych *à priori*, da się przewidzieć, że wszelkie akty obmyślane lub instynktowne, zmierzające do reformy stosunków płciowych, wypłyną z uświadomionych lub nieświadomych motywów utrwalenia i doskonalenia gatunku, respective rasy. Motyw kierowniczy zawsze będzie hodowla psycho-fizycznych doskonałości. Motyw ten przeziera tak dobrze w pomysłach prawniczych Lykurga, rzuconych Spartańczykom, jak w utopijnych pomysłach Tomasza Morusa lub Companelli. Ujawnia się on i w bieżących świeżych i zdrowych dążeniach etycznych, bez czego zatracałyby one swą istotę moralną. Nowe te prądy społeczno etyczne wydały bardzo szczęśliwe i praktyczne pomysły; lecz ażeby zrozumieć całą ich dobroczynność, trzeba być „esprit fort" a nie „borné", na tyle przynajmniej, by kwestyę rozważać ze stanowiska niezależnego, wolnego od kajdan nałogów myślowych, ciasnych, barbarzyńskich, głupkowatych egoizmów, uświęconych religią, wiekową tradycyą, tresurą policyjno-prawniczą. Uznawszy rozległość, nieuniknioność i dobroczynność kobiecego pierwiastku pod względem fizyologicznym i psychologicznym, należy podnieść wszechstronną kulturę kobiety, zdjąć z niej wszystkie upadlające i zwyradniające kajdany, nałożone na nią w barbarzyńskich czasach przez instynkty raubritterskie, przez męską zaborczość płciową, przez męskie wodzirejstwo, tęskniące do upadlających przywilejów, zamiast doskonalącego współzawodnictwa, wypływającego z równouprawnienia. Monogamia, nierozerwalna jedność stołu i łoża, jeśli ma być dobrodziejstwem osobistem i społecznem, musi być oparta na zasługach i zobopólnych przymiotach fizyologicznych i psychicznych kontrahentów, musi być „dobrowolnem", wewnętrznem ciążeniem kobiety i mężczyzny a nie zewnętrznym przymusem obrzędowym, przymusem zależności pieniężnej, przymusem prawniczego przywileju mężczyzny, przez niego samego ukutego często na własną niekorzyść. Monogamia tylko jako dobra i nieprzymuszona wola dwojga istot może być uznaną i do zerwania jej wszelkie zawady muszą być usunięte. Koniecznem jest tak dobrze w interesie osobistego szczęścia, jak i w interesie hygieny społecznej, wymagającej by na rynek życia z łona rodziny wyrzucane było zdrowe i we właściwej, pogodnej i tkliwej atmosferze duchowej wychowane potomstwo, której nie może dostarczyć rodzina zgorzkniała i skwaszona monogamią wymuszoną, której zbrakło podstaw naturalnych. Dla społeczeństwa, jeśli je mamy uważać za coś odrębnego i zamkniętego w sobie z właściwemi mu wyłącznie interesami, jest obojętnem, czy werbunek jego odbywa się z pośród dzieci, zrodzonych w monogamii, poligamii, czy z pośród innego gatunku wylęgacza ludzkiego. Natomiast bardzo jest ważnem, by rodzina nie była hodowlą dekadentów, i z tego tytułu społeczeństwo uważa się za uprawnione poddawać instytucye, oparte na stosunkach płciowych, dozorowi. Zastrzega ono sobie prawo wglądania w stanowisko dziecka w rodzinie, mając na względzie emancypacyę jego z pod tyranii chlebodawcy; ogranicza do pewnego tylko czasu prawo własności rodziców do dziecka; zastrzegając sobie prawo odebrania go rodzicom, gdy opieka ich staje się szkodliwą dla doskonalenia dziecka. To jest etyczne stanowisko społeczeństwa, określone w dążeniach, ujawnionych przez poprawiaczów rodziny. Ze społeczeństwo, pokonane geniuszem miecza, umysłu, serca lub talentu, milknie i nie podnosi małostkowej, bzdurnej, mizernej wrzawy o rodowód—świadczy o tem to, że stawia ono pomniki takim dzieciom, tak zwanego „nieprawego łoża", jak Jezus z Nazarethu, Teodoryk Wielki, Leonardo da Vinci, Aretino, Dumas (syn) i inni. Po tych przedwstępnych uwagach przejdźmy do rozpatrzenia pomysłowych reform w obchodzącej nas dziedzinie życia społecznego. Zastęp literacko-naukowych rzeczników niejednomyślnego pokroju, co do reformy rodziny, małżeństwa i stosunków płciowych, jest tak duży w każdym kraju oświeconym i cywilizowanym, że zaznajomienie z literaturą przedmiotu nie mieści się w ramach niniejszego opracowania. Wspomnimy tylko dla przykładu: prof. filozofii Caspari, prof. Ehrenfelsa, prof. Forela, dr. Kaspra Schmidh'a, dr. Krolle i innych. Z pośród kobiet Johann'a Elberstirchen, Ellen Key są więcej znane naszej publiczności. Nie brak też w każdem żywotnem i energicznem społeczeństwie zrzeszeń, które od tchórzliwego, anemicznego, platonicznego wyznawania zasad myślowo przetrawionych przechodzą do propagandy czynu. Do takich zrzeszeń np. należy w Niemczech Towarzystwo reform płciowych, Związek „dla obrony matek".

Poruszając temat zaznaczony w tytule naszego opracowania informacyjnego, nie można pominąć omówienia dążeń owego związku. Za teoretyka i literackiego jego tłomacza należy uważać Dr. Kaspra Schmidh'a. W działalności piśmienniczej Dr. Schmidh'a, pełnej temperamentu, graniczącego niemal z furyą, rozróżnić się daje działalność negatywna — pustoszycielska i pozytywna — twórcza. Pokrótce zatrzymamy się nad obiema. Opierając się na szeregu wywodów przyrodniczych i danych statystycznych, Dr. Schmidh stwierdza naturalną śmierć, upadek naturalny nierozerwalnego jednożeństwa, pomimo że ta strupieszała i zbrodnicza instytucya cieszy się monopolem państwowym, sankcyą religii, poparciem konserwatywnej polityki, wymuszoną siłą tradycyi. Więcej nawet, dr. Schmidh wprost utrzymuje, że monogamia nierozerwalna w rzeczywistości oddawna nie istnieje, jako stan „praeter naturam", że jest kłamstwem, że istnieje tylko formalnie. Oskarża on obecną instytucyę małżeństwa ze wszystkiem tem, co się do tego garniturn odnosi, o wszystkie dzieciobójstwa i wymuszone poronienia z tak zwanego „wstydu", o wszystkie zgony ponad przeciętną normę nieślubnych dzieci, o wszystkie udręczenia, związane z prostytucyą, z prześladowaniem t. zw. „wolnej miłości", o wszystkie udręczenia i zboczenia płciowe męskich i żeńskich celibataryuszów. Najgłówniejszą przyczynę zwyrodnienia współczesnego pokolenia znajduje Dr. Schmidh w owej „świętej" instytucyi patryarchalnego małżeństwa pseudojednożennego i nierozerwalnego. Zbyt zajmujące są liczbowe dane, zebrane przez p. Schmidh'a, ażeby o nich na tem miejscu nie wspomnieć. Dotyczą one Niemiec. W wieku od 18—25 lat życia 78,5% wszystkich kobiet w Niemczech żyje w stanie nieślubnym, a w wieku od 17—50-go roku życia 47,2% kobiet pozostaje pannami. Obliczenia, dokonane w Monachium, wykazały, że ilość matek nieślubnych przerasta liczbę matek ślubnych. Liczba rozwodów, ile razy prawo rozwodowe rozluźnia węzły małżeńskie, stale wzrasta, ilość nieślubnych dzieci stale wzrasta, nie licząc mnóstwa niewykrytych dzieciobójstw i poronień, wymykających się liczbom statystycznym. Niejakie przybliżone pojęcie o rozmiarach utajonego dzieciobójstwa daje następujący szczegół: Gdy ze względów technicznych w Monachium założono kratą wylot wpustowy jednego kanału do rzeki, to u wylotu kanału przed kratą po przeciąga tygodnia zebrało się 12 trupów noworodków. Tyle dla ilustracyi rozkładu sztucznie podtrzymywanej formy małżeństwa Dr. Schmidh uważa monogamiczne, nierozerwalne małżeństwo za szczątkowy przeżytek i anachronizm kulturalny, który już nie odpowiada industryalistycznej, wielkomiejskiej kulturze współczesnej. Przy nadmiarze ziemi rolnej i przy ustroju rodowym, opartym na rolnictwie, gdzie rodzina jest najmniejszą, komunistyczną zbiorowością nieruchomą spożywczo-wytwórczą, monogamiczne, patryarchalne małżeństwo było na swem miejscu; lecz ta forma kultury należy do historyi. Nic dziw przeto, że wymagania nowoczesnego życia, inne formy wytworu, cała fizyologia i psychologia miłości nowoczesnego człowieka cywilizowanego, wreszcie krytyka naukowa tę przeżytą formę małżeństwa podmywają u podstaw. Jakkolwiek dr. Schmidh w krytyce swej jest logicznym i wychodzi zawsze z dobrze stwierdzonego faktu a nawet często wzbogaca krytykę małżeństwa dzisiejszego nowym oryginalnym wywodem, to jednak musimy pominąć wszystkie szczegóły odnośnego jego rozumowania jako mniej ważne. Krytyka instytucyi, niewytrzymującej krytyki, jest ustaloną już i nie warto jej stosować do tego, co samo życie obala. Dużo ważniejszym jest środek zaradczy, mający zapobiedz wszystkim zbrodniom monogamicznego, patryarchatem zabarwionego, nierozerwalnego małżeństwa. W pomyśle ratunkowym „Związku w obronie matek" dr. Schmidh częściowo odtwarza nawoływanie do powrotu do matryarchatu, poruszone przez p. Ruth Bré. Częściowo ulega on też podszeptom prof. Ehrenfels'a w Niemczech, a Hoch'a we Francyi, którzy wykazawszy nienaturalność, fizyologiczną niedorzeczność i szkodliwość monogamii są naukowymi rzecznikami poligamii. Równorzędnie z tem Ruedebusch nadał propagandzie poligamii formę beletrystyczną. Reforma małżeństwa wysuwana przez „Związek ochrony matek" milcząco przewiduje, że kobieta przestanie być dożywotnio dzierżawionym aparatem do rodzenia, że praca zarobkowa kobiety rozpowszechni się i stanie się ogólnie obowiązującą. Związek proponuje system podatku, szczegółowo opracowany przez Dr. Borgiusa, którego

celem byłoby zapewnienie renty macierzyńskiej tym matkom, którym zabrakłoby środków na wyżywienie ich dzieci. Dzieci do pewnego wieku uznane są za własność bezwarunkową matki a nigdy ojca, jak jest dotąd; po pewnym przeciągu czasu społeczeństwo zastrzega sobie prawo współwłasności w tych granicach, ażeby dziecko miało świadomość, że nie jest ono oddane na łaskę i niełaskę, na pastwę tyranii tych, którzy go spłodzili lub żywią, że ma ono jeszcze innego wysoce zainteresowanego opiekuna, którym jest społeczeństwo całe. Społeczeństwo z swych źródeł podatkowych utrzymuje wzorowe ochrony i zakłady wychowawcze, do których każde dziecko może zapukać i znaleźć zastępstwo rodzicielskie, ile razy nieudolność i niemoc wychowawcza matki do tego je zniewoli, ilekroć węzły tkliwości, pieczołowitości i przywiązania wyczerpią się i nie wystarczą do osiągnięcia celów pedagogicznych. Korzystanie ze społecznej zapomogi macierzyństwa, której maximum jest ograniczone, oraz korzystanie ze społecznych zakładów wychowawczych *nie jest obowiązkowem, lecz* dowolnem i to w wypadkach rzeczywistej potrzeby. Korzystanie z zapomogi macierzyństwa nie zależy od tego, czy dziecko zostało spłodzone w związku monogamicznym, czy poligamicznym, czy przy rozdzielności stołu i łoża, czy przy wspólności stołu i łoża; to się pozostawia uznaniu i naturalnym popędom rodziców, których społeczeństwo nie jest powołane kontrolować. Natomiast społeczeństwu zależy na tem, ażeby rekrutowało się, doskonaliło i odradzało za pomocą zdrowego pokolenia z pożądanymi zadatkami duchowymi. Z tego powodu musi się ono zabezpieczyć od rozwinięcia się spekulacyi przemysłu połogowego i ażeby społeczna renta macierzyńska nie ułatwiała wydawania na świat dekadentów, którymi dzisiejsza forma małżeństwa wspaniałomyślnie i szczodrze je obdarza. Ponieważ stwierdzono, że piąty połóg i następne wydają potomstwo jakościowo gorsze, przeto tylko za dzieci zrodzone z czterech pierwszych wolno ubiegać się o rentę macierzyństwa, w dodatku tylko za takie, które są zupełnie zdrowe, nie noszą na sobie znamion zwyrodnienia nie są zrodzone ze stosunków płciowych pomiędzy syfilitykami i alkoholikami, pomiędzy ludźmi obarczonymi chorobami dziedzicznemi. Takim wolno obcować płciowo, lecz za niemoralne uważa się pozostawianie potomstwa. „Związek opieki matek" zdąża do tego, ażeby projekt prawa w powyższym duchu wniesiony był pod obrady ciała prawodawczego w parlamencie. Dla tego, kto życie zna, rozumie i traktuje poważnie, kto umie wmyśleć się i odczuć wielostronne, liczne i nieuniknione dramaty i tragedye dzisiejszego małżeństwa, dobroczynność projektowanej przez „Związek" reformy jest oczywistą i zrozumiałą, niewymagającą rozjaśniających komentarzy. Przez reformę projektowaną przez Związek, przedewszystkiem żona i dziecko przestają być żywym inwentarzem patryarchy, zwanego ojcem i mężem, przestają być jego ruchomą własnością. Ze stosunków małżeńskich wtedy jest wygnanem sutenerstwo jednej lub drugiej strony, jest wygnaną niewola ekonomiczna matki i dziecka, wszelki małżeński prostytucyonizm, wygnaną jest jawna i skryta nienawiść małżonków, wygnaną jest spekulacya i wyrachowanie, uniemożliwioną tyrania męża względem żony i odwrotnie, uniemożliwioną jest tyrania rodziców względem dzieci. Dziecko dla którego pozostawanie przy rodzicach zamienia się w rodzaj rot aresztanckich, jak to często bywa, wiedzieć będzie, że ma potężniejszego jeszcze i mniej złośliwego ojca w postaci społeczeństwa, czuwającego w rezerwie nad jego dobrem. Przez reformę powyżej wyłuszczoną w kobiecie zabije się jawną i maskowaną kokotę a obudzi się człowieka, stosunek kobiety i mężczyzny będzie czystym. Prostytucya zginie nagłą lub powolną śmiercią, wraz ze wszystkiemi jej klęskami. Postęp, który nie jest żebrakiem, modlącym się o miłosierdzie i jałmużnę dla siebie, który potrafi roztrącić skarłowacenie i dekadentyzm wstecznictwu, który potrafi nakazać szacunek, uległość i uwielbienie dla siebie, reformę podobnego rodzaju ustali. Takie są słowa świętej ewangelii.

Alexy Kurcyusz.

LITERATURA I SZTUKA

TEATR.

Bohaterowie. Komedya Bernarda Shaw przełożył K. Rakowski.

Myśl ludzka może być dla smakoszów ducha tak samo treścią rozkoszy, tak samo przedmiotem uczty pogańskiej, jak dla smakoszów ciała — dobory ostryg i omarów, ozłocone szumem cennego wina południa, owiane koncertem cennej, a czasem bezcennej pieszczoty kobiecej na strunach zmysłów. Tak napawają się cudzą myślą artystyczną całe kategorye smakoszów w wyższym stylu, twórców piszących i niepiszących. Ale niekiedy i autor sam pozostaje w takim haremowym stosunku do myśli własnych, własnych wizyj wzrokowych i słuchowych, jeżeli tak rzec można, w braku wyrazu na emanacye muzyczne. Jaźń jego sułtanowa deprawuje te kochanki ducha, wylęgłe w rozkoszy twórczej, stwarza w nich subtelną kulturę rozpusty, która jest sztuką stopniowego obnażania coraz nowych stron i coraz głębszych i skrytszych wnętrzy zjawisk, aż do wykazania całej ich tajemnicy lub — nicości; stwarza w nich wytworną kulturę najwyższego cynizmu, który jest rozpustą sztuki. Cynizm, rozpusta, są to wyrazy zbyt proste na oznaczenie tej nihilistycznej szczerości uśmiechu, z jaką Shaw stwarza myśl, sylwetkę, czyn, następnie przypatruje się im z lubieżnem niedowierzaniem wyższości, obraca je w palcach szlifierza dyamentów, ukazuje widzowi wszystkie kanty i granie, blaski i cienie z przedmiotowością boskiego filozofa i przechodzi dalej, najzupełniej ignorując losy tworu i wrażenia słuchacza. Jest to wielki pan w sztuce, który może sobie pozwolić na rzadki zbytek najzupełniejszej bezcelowości dzieła — nietylko w znaczeniu braku tendencyj ubocznych, ale może i dążeń artystycznych, ujętych w system, panujących nad twórczością, naginających ją do tezy. Shaw lubuje się w wolnej twórczości, jak można się kochać, naprzykład, w wolnej miłości. Rozkoszą — a więc i celem — jest dla niego ujmowanie nieuchwytnych zarysów duszy ludzkiej, oświetlanie mieniących się blasków uczucia, ale duszy i uczucia nie w naszem codziennem znaczeniu, życiowem lub teatralnem, a w znaczeniu tak szczerem, że na określenie tego stosunku twórcy do rzeczy mamy tylko jeden wyraz: paradoks.

Talent istotny jest czarodziejem. Pojąć, zrozumieć — dla niego to znaczy: stworzyć. Daje rzeczy nieoczekiwane — rzecz nowa jest zawsze nieoczekiwaną, olśniewa albo razi. Gdy na szmat zwykłego życia padnie światło talentu, ludzie stają zdumieni, wzruszają ramionami i widok ów nazywają — paradoksalnym. Cóż, gdy talent rozporządza wyobraźnią tego rodzaju, która szuka rozkoszy w gubieniu się między sprzecznościami i możliwościami, aby z nich sposobem mozaik weneckich ułożyć przebogaty, arcy fantastyczny obraz dusz, ale o tonach subtelnych, jak melodye prymitywów muzycznych, jak barwy dyskretne gobelinów starych; obraz, opromieniony ironicznym uśmiechem twórcy, który nie ma najmniejszej dozy prozelityzmu, nie stara się, nie chce i nie dba o to, ażeby kogoś o czemś przekonać, czegoś dowieść i coś wykazać, ale tworzy jak natura, jak żywioł, bezwiednie w stosunku do celów ostatecznych, świadomie jedynie w stosunku do środków i do osobistej rozkoszy twórczej. Półtony myśli, wytworne niedbalstwo dowcipu, wstrzemięźliwość akcyi, artystyczne unikanie tak zwanych sytuacyj scenicznych, ironia względem wszelkich rzeczy świata i względem samego siebie tak szczera, tak lekka, że jej dotknięcie nie rani, ale pieści, jej światło nie obraża a tylko powściągliwie uwydatnia plastykę rzeczy— zjawisko to na naszej scenie wywołało całkiem naturalnie szczere zdumienie publiczności, nawykłej do zjawisk zupełnie innego wymiaru w dziedzinie piękna. Oczy ludzkie do tego stopnia odwykły od istoty rzeczy, której nigdy nie oglądają — chyba w promieniach prawdziwej sztuki, ale wówczas nikt jej nie bierze poważnie — tak nawykły do szablonów, tak wygodnie się czują w krzykliwych, ale dobrodusznych komunałach formy, jak stopy w starych pantoflach — że gdy ujrzały artyzm, myśl autora i grę artystów, dociągniętą do tego poziomu, na którym sztuka staje się znowu naturą, ale pozbawioną cech przypadkowych — zatraciły skalę miar i wag i poczęły podawać mózgowi wrażenia chaotyczne, sprzeczne, beztreściwe. Potrzeba nam jeszcze w sztuce nieodzownie — pozy, pięknego i wyraźnego gestu, szablonowych falowań i drżeń głosu (zawsze mi się uprzytomnia ów drgający na strunie skrzypcowej *palec*), form utartych, w których słuch i wyobraźnia nasza tak się czują, jak sybaryta w szlafroku.

Istotnie, Shaw nie mieści się w żadnych, przez zwyczaj sceniczny określonych i przepisanych formach. Jeżeli przenosi akcyę do Bułgaryi, to zapewne dla tego, że te natury ludzkie łatwiej mu oskrobać z cienkiej kory cywilizacyjnej, że mniej tu potrzeba przełamać technicznych trudności, aby wydobyć człowieka z osłonek dziedzictwa tradycyjnego i okazać jego złożoność, wielokrotność, a często bezsensowość przyrodzoną. Zresztą miejscowość, narodowość, wogóle przestrzeń i czas nie grają tu najmniejszej roli — chodzi o coś zupełnie innego, co jest o wiele ważniejsze. Nie ma również najmniejszego znaczenia, czy A. kocha B., a C. nienawidzi D.—jest to absolutnie obojętne. Chodzi o to, jak się przedstawia wnętrze paru natur ludzkich, jak się krzyżują w powietrzu ducha błyskawice myśli i czucia, jakie ruchy odbywa jaźń ludzka „na wolności"; kilka ciekawych doświadczeń, z których zresztą autor nie pragnie i nie zadaje sobie trudu wyciągania jakichkolwiek wniosków. On się tylko uśmiecha. Nie ma dla niego rzeczy wielkich i małych, wzniosłych i nikczemnych, są tylko mniej i więcej ciekawe. Wszystko zaś jest ciekawe, co jest prawdziwe. Ale i rzeczy nieprawdziwe bywają ciekawe. Dlatego, chociaż kapitan Bluntschli powiada Rainie wiele rzeczy cierpkich, powiada jej również miłe i ciepłe i ofiarowuje jej nawet serce swoje wraz z dziesiątkami tysięcy obrusów, serwet i widelców; a major Saranow, przedziwna mieszanina szczerości i pozy, może zbyt gorąco brał do serca własne śmieszne i złe strony i zbyt poważnie — słowa dramatyczne

autora, który jest od początku do końca przytomny na scenie i uśmiecha się z pomiędzy wyrazów i zdań, jakgdyby wciąż powtarzał: nie bierzcie jednak tego wszystkiego zbyt prosto i jasno... nie śmiejcie się zwłaszcza tak szczerze z moich subtelnych, dowcipnie zgryźliwych spostrzeżeń, gdyż nazbyt często śmiejecie się, nie wiedząc o tem—z siebie samych...

M. W.

Z MUZYKI

Dziewica lodowców, Opera fantastyczna Adolfa Gużewskiego.

Nowe opery polskie, wystawiane dotychczas w teatrze Wielkim, były komponowane przez muzyków wyrobionych i posiadających w swoim dobytku autorskim prace poważne i wartościowe. Najświeższa nowość repertuarowa w operze, „Dziewica lodowców" Gużewskiego, przedstawia się w warunkach odmiennych: jest pierwszem dziełem twórcy młodego i nieznanego.

Odrębność położenia pociąga naturalnie za sobą inną skalę wymagań. Wiadomo przecież powszechnie, że każdy talent początkujący musi popełniać błędy i podlegać chwiejnościom, zanim znajdzie i obierze drogę, którą rozwój jego przymiotów artystycznych wskazywać będzie za właściwą. Wiadomo również, że techniczna strona sztuki kompozytorskiej wymaga dużo czasu i pracy, zanim, nawet u jednostek poważnie uzdolnionych, zostanie doprowadzona do pożądanego stopnia udoskonalenia. Dlatego też oceniając pierwsze kroki autorów młodych, zwykliśmy uzbrajać się w życzliwą wyrozumiałość, usprawiedliwioną zresztą najzupełniej trudnościami położenia.

Najczęściej próbne prace kompozytorów początkujących wykazują rozmaite braki i nieprawidłowości techniczno-artystyczne, przez które, pomimo wpływu niedoświadczenia, przebija iskra, często nieujawnionej, rwącej się do wzlotów (niekiedy bardzo śmiałych i dziwacznych) fantazyi twórczej. Bujność polotu okupuje wówczas niedostatki treści.

Nowa opera Adolfa Gużewskiego różni się znacznie i pod niejednym względem, od podobnego typu dzieł młodzieńczych. Ortograficzna i dramatyczna strona partycyi nie daje powodu do obciążających zarzutów. Natomiast pierwiastki uczucia i wyrazu, które w objawach polotu kompozytorskiego najdosadniej uwydatniają siłę twórczości, nie wystąpiły tym razem w spodziewanym stopniu wybujałości samorodnej.

Odmówić Gużewskiemu daru melodyjności niepodobna. Niektóre ustępy liryczne bardzo udatne, o pomyśle szczęśliwym i niesztucznym rozwoju, świadczą dostatecznie, iż w fantazyi autora „Dziewicy lodowców" dźwięczy ta cenna struna kompozytorskiego polotu. Jednak wobec przewagi innych środków, na których głównie polega budowa partycyi, słuchacz czyni odruchowo spostrzeżenie, że liczba owych tematów płynnych i pięknych nie jest wielka, oraz że czynnik, który w dziele scenicznem zwykliśmy uważać za najbardziej i najwłaściwiej powołany do efektów, jeśli nie do popisów śpiewności, mianowicie głos ludzki, nie został w tym kierunku wyzyskany należycie.

Młody autor widocznie troszczył się przeważnie o pomysłowość kolorytów orkiestrowych. Przyznać należy, że w tym przedmiocie właśnie ujawnił najwięcej uzdolnienia i umiejętności. Wprawdzie jego kombinacye instrumentalne niezawsze odpowiadają wiernie nastrojom lub uczuciom, które mają otwarzać; niemniej wszakże podkład harmoniczno-polifoniczny jest zawsze barwny, żywy i bardzo urozmaicony.

Silne skupienie uwagi w tym kierunku, oczywiście nader ważnym w operze nowoczesnej, wywołało taki skutek, że krytycyzm autora, zbyt jednostronnie natężony, stał się o wiele mniej wrażliwym wobec innych pierwiastków kompozytorskiej wyobraźni. Z tego powodu znalazły się w partycyi różne ustępy inwencyjnie słabe, napisane prawdopodobnie z pośpiechem albo w okresach wyczerpania, które każdy inny twórca, kontrolujący swą pracę z większą surowością, byłby zastąpił niezawodnie czemś lepszem. W takie pomysły chybione obfituje głównie akt pierwszy. Kto wie nawet, czy dla dobra i przyszłości dzieła, bądź co bądź niepospolitego, nie byłoby korzystnie skomponować na nowo cały ów akt, zachowując z niego wszakże duet miłosny i parę udatnych ustępów zbiorowych.

Adolf Gużewski wykazał jasno w tem pierwszem swojem dziele, że posiada niezaprzeczone zacięcie dramatyczne. Znać po energii i ożywieniu rytmów, oraz po udatnej dosadności barw silnych, że poczucie sceny, oraz jej efektów jest w nim wrodzone. Do kolorytów łagodnych, subtelnych i poetycznych okazuje skłonności mniej wyraźne; mogą się one jednak rozwinąć, i nawet bardzo korzystnie, przy dalszej pracy.

W każdym razie, pomimo stron ujemnych, pierwsza opera naszego młodego kompozytora czyni wrażenie dodatnie, i zasługuje na to by zająć trwałe stanowisko w repertuarze bieżącym.

„Dziewica lodowców" jest widowiskiem efektownem pod względem wystawności scenicznej. Dekoracye malownicze, pomysłowe maszynerye, kontrasty świetlne, widziadła, oraz różne zjawiska fantastyczne utrzymują w skupieniu uwagę widza i czynią akcyę zajmującą, przyczyniając się też w pewnym stopniu do powodzenia dzieła.

Libretto ułożył sam autor, czerpiąc temat z opowieści Andersena. Posiada ono niektóre usterki, zarówno w formie literackiej, jak pod względem przeprowadzenia wątku fabuły. Przedstawia jednak obfitość różnorodnych sytuacyi, nadających się bardzo dobrze na tło ilustracyi muzycznej. Nadto, sam układ scen odznacza się zaletą niezbyt często spotykaną u kompozytorów, którzy trudzą się układaniem treści do swych dzieł: jest zwięzły i nie przeładowany balastem retorycznym. Odbija się to korzystnie i na budowie partycyi muzycznej, która właśnie wskutek tresciwości form nie nudzi i nie nuży.

Bojomir.

Z prasy rosyjskiej

Na szpaltach *Gołosu Moskwy* październikowcy następujące czynią uwagi o żądaniach autonomicznych Polaków:

„Dla osiągnięcia tego samorządu miejscowego — zalecaliśmy kroczyć tą drogą, która, jak dowiodło tego samo życie, jest jedynie dobrą. Zalecaliśmy zdobycie przedewszystkiem szerokiego rozwoju samorządu miejscowego, przy trwałych podstawowych pierwiastkach wolności obywatelskiej, przy udziale wszystkich obywateli rosyjskich, bez różnicy narodowości i wyznania, w utworzeniu władzy państwowej, przy zapewnieniu poszczególnym norodowościom jaknajszerszego prawa do zaspokojenia i obrony swych potrzeb kulturalnych w granicach, na jakie pozwala idea państwowości i interesy innych narodowości. Jednocześnie uznawaliśmy za możliwe, aby różne miejscowości państwa tworzyły związki okręgowe dla rozwiązania zadań, wchodzących w zakres samorządu miejscowego.

To, co zalecał związek 30 października, nie przeszkadzało w niczem odrębnościom miejscowym i interesom różnych narodowości, aby mogły znaleźć wyraz i uwzględnienie w prawodawstwie i zarządzie, opartych na uznaniu bezwarunkowej równości praw wszystkich obywateli rosyjskich.

Związek 30 października nigdy nie wyrzekał się zakreślonych sobie zadań. Szedł wytrwale do jednego celu ogólnego — do utrwalenia w Rosyi konstytucyi. Nie zapominał jednak i o innych sprawach, a w tej liczbie i o kresowej. I sprawę tę oddawał do rozwiązania samym interesowanym narodowościom pod jednym warunkiem, aby forma samorządu, ułożona przez nie, ani bezpośrednio, ani pośrednio nie była skierowana ku rozczłonkowaniu państwa.

Życie i historya stwierdzają, że drobne jednostki polityczne nie mogą pod żadnym względem konkurować z większą całością. Nawet Polska, jedna z większych prowincyi, dążąca do autonomii, nie może żyć życiem odosobnionem, i wszystkie niedogodności, wynikające ztąd, spadłyby przedewszystkiem na samych Polaków.

A p. Mienszikow w *Now. Wrem.* bije znów na alarm:

„Z wyjątkiem Petersburga cały świat widzi, że rewolucyoniści szykują się do wystąpienia. Nie ukrywają oni tego wcale, głosząc o tem na zebraniach rewolucyjnych w fabrykach petersburskich, w obecności policyi. Rewolucyoniści krzyczą już o powstaniu w biały dzień na ulicach, jak to było w dzień otwarcia Izby w obecności olbrzymich tłumów hołoty. Czyżby te krzyki nic istotnie nie miały oznaczać? Ależ, niezależnie od krzyków, niemal codziennie odnajdywane są wymowne składy bomb i broni, nie mówiąc już o literaturze rewolucyjnej, którą wypada wywozić całymi wozami. Zapasy wojenne buntu odnajdywane są wypadkowo. Gdyby ktoś nie wyrzucił pustej bomby z górnego piętra w instytucie politechnicznym, policya przeszłaby obok składu i nikt by o nim nic nie wiedział. Zapytać się trzeba, koło iluż to takich składów przechodzimy codziennie, nawet się ich nie domyślając?

Jest zresztą na widowni coś groźniejszego jeszcze od tych składów. Stopniowo cała organizacya państwowa staje się organizacyą rewolucyjną. Zadziwiająca rzecz, jak na to nikt nie zwraca uwagi. Rząd stracił głowę i oddał w ręce buntu olbrzymie instytucye skarbowe — uniwersytety, instytuty, politechniki, akademie. Przecież to wszystko są wprost fortece z licznemi załogami z pośród młodzieży, uzbrojonej w bomby i rewolwery, przedewszystkiem zaś w odwagę ludzi, którzy wiedzą, czego chcą. Czyż ubiegłą jesienią nie powzięto tam uchwał, postanawiających jednogłośnie, że szkoły wyższe winny być otwarte jedynie w celu wyzyskania ich dla rewolucyi? Upłynęło pół roku i widzimy teraz, że to bynajmniej nie było frazesem. Nauki w gruncie rzeczy nie było wcale. Studenterya zajmowała się pełnieniem służby garnizonowej na potrzeby rewolucyi i niczem więcej. Pod pozorem autonomii wyższych szkół utworzyły się w Petersburgu i większych miastach Rosyi niezależne rzeczpospolite, wrogie Cesarstwu, gotujące się do walki z niem, utrzymywane jednak ze skarbu państwa. Aż śmiech bierze mówić, ale nietylko radykalni profesorowie otrzymują pensye skarbowe i ordery na święta, lecz i stu-

denci es-deki, es-ery i t. p. otrzymują stypendya za czynienie przygotowań do buntu. Stopniowo całe tak ważne ministeryum — ministeryum oświaty wraz ze swą organizacyą państwową przeszło na służbę rewolucyi".

KRONIKA

Sprawy polityczne i społeczne. Posłowie włościańscy z gub. Podolskiej, Mińskiej i Witebskiej utworzyli odrębną grupą parlamentarną umiarkowanych włościan bezpartyjnych. Do tej grupy na razie zapisało się 32 członków.

— Rada ministrów postanowiła nie wnosić pod obrady Dumy czasowych praw o sądach wojenno polowych z tego względu, że te prawa wyjątkowe stracą swą moc w dwa miesiące po otwarciu Dumy, t. j. 8 maja r. b. Jednocześnie postanowiono zalecić generał-gubernatorom i naczelnikom wojennym oddawanie pod sądy wojenno-polowe tylko w wypadkach niezwykle ważnych, z zawiadomieniem każdorazowem ministra spraw wewnętrznych.

— Zarządzający ochroną pałacu Taurydzkiego, baron Osten Saken zażądał od biura prasy zapobieżenia rozmowom przedstawicieli prasy z posłami w kuluarach Dumy.

— Komisya kadetów w sprawie prawodawstwa robotniczego pod przewodnictwem Struwego postanowiła wnieść do Dumy projekt prawa o związkach zawodowych i wolności zmów.

— Na ulicach Łodzi Pogotowie ratunkowe coraz częściej wzywane jest do ludzi osłabłych z głodu lub umierających.

— Dumie państwowej złożony został projekt nowej ustawy paszportowej.

— Duchowny Pietrow, skazany przez synod na 3 mies. zamknięcia w klasztorze, w liście do prezesa Dumy prosił, ażeby nie komplikowano i tak już ciężkiego położenia i przyjęto spokojnie odmowę synodu wypuszczenia go przed czasem z zamknięcia.

— Podług doniesień pism rosyjskich ma nastąpić połączenie socyalistycznych partyj: Proletaryatu, P. P. S. (bez frakcyi rewolucyjnej) i tej części demokracyi socyalnej Polski i Litwy, która niedawno odłączyła się. Połączeni przyjmują nazwę „Zjednoczonej polskiej socyaldemokratycznej partyi robotniczej". Celem zjednoczenia ma być walka z partyą narodowo-demokratyczną.

— Partya „październikowców" uchwaliła, ze względu na swą nieliczność (45), własnych projektów do Dumy nie wnosić, ale dbać przedewszystkiem o zachowanie Dumy i tworzenie opozycyi tak względem lewicy, jak skrajnej prawicy.

— Sprawa amnestyi porusza żywo wszystkie partye. Grupa pracy uchwaliła przeprowadzić tę sprawę w porządku prawodawczym; socyal-demokraci nic stanowczo nie proponują, lecz nie życzą sobie demonstracyi w tej sprawie, lecz pragną poprowadzenia jej w porządku prawodawczym; socyaliści narodowi postanowili projekt prawa o amnestyi złożyć komisyi parlamentarnej i dopiero następnie Dumie.

— Na naradzie frakcyj opozycyjnych dn. 14 czerwca wszyscy posłowie postanowili wysłuchać zapowiedzianego na dzień następny czytania deklaracyi rządu i zaraz potem bez dyskusyi przejść nad nią do porządku dziennego; gdy esdecy domagali się prawa dla swych mówców wypowiedzenia się o polityce rządu, socyal-rewolucyoniści oświadczyli, że oni w takim razie w imieniu całej opozycyi zaproponują przerwanie dyskusyi i po przemówieniu pierwszego mówcy s. d. wszyscy opuszczą salę posiedzeń, ażeby zmusić do zamknięcia obrad.

— Agen. Pet. która, jak donosi *Myśl Kijow.*, miała uprzednio zalecone jak najmniej pisać o wywłaszczeniach, napadach, rabunkach, otrzymała obecnie rozkaz szczegółowego informowania o wszystkich takich wypadkach, na dowód, że ruch rewolucyjny wzmógł się z chwilą zwołania Dumy.

— Dnia 15 b. m. o g. 5 m. 40 rano zawalił się sufit nad salą posiedzeń Dumy, zasypując około 200 miejsc środkowych. Z tych miejsc nikt prawdopodobnie nie wyszedłby żywy, gdyby wypadek zdarzył się podczas zebrania posłów. Zawalenie się sufitu nastąpiło wskutek przerwania nadgniłych wiązań.

Zaburzenia i zamachy. W Elizawetgradzie wystrzałem w okno wagonu tramwajowego został zabity znany przywódca drużyny bojowej „Związku narodu rosyjskiego". Zabójca zbiegł. Wypadek wywołał niepokój w mieście i przygotowania do pogromu.

— W Odesie, u urzędnika banku rosyjskiego dla handlu zewnętrznego, znaleziono pięć bomb napełnionych. Urzędnik zbiegł.

— Na ulicach Łodzi wciąż się powtarzają wypadki pobicia przechodniów przez żołnierzy. Pisma codzienne utrzymują, że zabicie oficera Czerkaskiego jest dziełem prowokatorów, którzy chcieli wywołać pogrom w Łodzi.

— Podczas rewizyi w mieszkaniach strażaków straży ochotniczej fabryki Scheiblera w Łodzi znaleziono kilka rewolwerów, mauzerów oraz dynamit.

— W sprawie rewizyi w instytucie politechnicznym w Petersburgu studenci, jak donosi *Now'*, zebrali materyał, świadczący, że rewizya miała charakter prowokacyjny. Wszystkie bomby znaleziono w pokojach niezamieszkanych, a robotnik u którego znaleziono trzy bomby i który zeznał, że w pokoju tym mieszkał od dwóch tygodni, pozostaje na usługach „ochrany". Materyał ten po ugrupowaniu ma być przedstawiony Dumie i posłuży do interpelacyi.

— W Łodzi dn. 13 b. m. dwie grupy robotników rozpoczęły strzelanie do siebie na ul. Benedykta, raniono trzech. Na odgłos strzałów przybył patrol wojskowy, przed którym strzelający rozproszyli się.

— Pułkownik Dumbadze w Jałcie na którego rzucono bombę i dano strzał nie zabijając go, zaraz po zamachu wysłał redaktora Rusi następujący telegram:

„Winszuję Panu pomyślnych rezultatów szczucia: jestem ranny od wybuchu bomby, a wraz ze mną jest jeszcze kilka osób rannych. Na złość wszakże Panu i podobnym Mu mam dość jeszcze sił do służenia wraz z pułkiem dla dobra Monarchy i Ojczyzny. Pułkownik Dumbadze".

— W Charkowie podczas rewizyi w mieszkaniu studentów wybuchła bomba, zabijając rotmistrza żandarmeryi, pomocnika komisarza, policyanta i dwóch nieznajomych, raniąc ciężko 3 osoby, lżej—dwie.

— W Borysoglebsku, u szewca, znaleziono koszyk z 10 bombami.

— Na kasyera arsenału w Briansku napadło 6 zbrojnych bandytów, którzy zrabowali mu 10,000 rb.

— Do fabryki wyrobów Stillera w Łodzi weszło jednocześnie z robotnikami, przybywającymi do zajęcia, kilku młodych ludzi, którzy rozpoczęli strzelanie z rewolwerów do żołnierzy, raniąc dwóch ciężko; za uciekającymi reszta żołnierzy dała kilka salw bezskutecznie. Zatrzymano jednego podejrzanego o udział w napadzie i tego żołnierze pobili kolbami.

— Na przyjęciu u gub. jarosławskiego Rymskiego-Korsakowa zmierzył doń z rewolweru nieznajomy student. Gubernator napastnika obezwładnił i oddał w ręce policyi. Gdy go pytał potem: dlaczego chciał go zabić?—„Taki był rozkaz organizacyi bojowej socyalnych rewolucyonistów. Wszystko jedno, zabójstwa dokona drugi"—odpowiedział student.

Aresztowania i kary. Z powodu przepełnienia więzień warszawskich więźniami politycznymi, skazanymi na katorgę i osiedlenie, główny zarząd więzienny w Petersburgu polecił władzom tutejszym wysyłanie więźniów do Moskwy dwa razy tygodniowo: o północy z poniedziałku na wtorek i z piątku na sobotę.

— Od dn. 5 do 11 b. m. stracono, jak oblicza *Towariszcz*, z wyroku sądów wojenno-polowych dwadzieścia ludzi. Wraz ze straconymi przed d. 5 b. m. czyni to ogólną sumę 764 ludzi.

Bandytyzm. W trzeciorzędnej traktjerni na Brackiej zabawiało się pięciu młodych ludzi; kiedy już wszyscy byli w bardzo dobrych humorach, jeden z nich wyszedł na podwórze. W chwilę potem tamże rozległy się cztery strzały. Gdy zebrani w restauracyi goście wybiegli na podwórze, zobaczyli leżącego na śniegu bez życia jednego z owych pięciu. Tajemniczy zabójca znikł bez śladu. Takie sceny są dziś w naszym kraju na porządku dziennym.

— W Pabjanicach aresztowano czterech bandytów, którzy przed paru dniami ograbili przejeżdżającego kupca z gotówki i z towaru wartości około 2000 rb.

Strajki i lock'outy. W Moskwie 48 drukarń stanowi związek właścicieli, z tych 28 ogłosiło obrachunek z robotnikami w terminie dwutygodniowym. Związek robotników postanowił zerwać stosunki z związkiem właścicieli drukarń i traktować pojednawczo z każdym z nich poszczególnie.

— W Moskwie zastrajkowali robotnicy centralnej stacyi elektrycznej. Ruch tramwajów miejskich ustał [illegible]

— Cukrownia Rejowiec zagroziła wydaleniem robotników, którzy nie podpiszą wymagającej przez zarząd deklaracyi; 40 rodzinom grozi pozbawienie [illegible]

— W Żyrardowie majster stolarski Lepke tak dotkliwie pobił w pończoszarni jedną młodą robotnicę, że trzeba ją było odwieźć do szpitala. Na oddziale natychmiast przerwano pracę i uchwalono strajk. Za przykładem pończoszarni zastrajkowały Stara i Nowa tkalnia. Delegaci robotników, udawszy się do zarządu, zażądali usunięcia majstra Lepkego. Zarząd obiecał rozpatrzyć sprawę, na miejsce Lepkego naznaczył innego specyalistę, skutkiem czego robotnicy jeszcze tego dnia powrócili do pracy.

— Do komitetu robotniczego Związku zawodowego robotników przemysłu włóknistego i Związku robotników żelazno-metalurgicznych wpłynęło według ogłoszonego sprawozdania od początku lock'outu do dn. 10 marca 67,927 rb. 68 kop., które wypłacono zorganizowanym robotnikom, dotkniętym lock'outem.

— Sześć tysięcy czeladników piekarskich w Wiedniu zastrajkowało. Miasto znalazło się bez pieczywa.

Sprawy szkolne i oświatowe. Rada uniwersytetu kazańskiego postanowiła zamknąć uniwersytet z powodu obstrukcyi studentów.

— Jako oddział „Tow. Kultury polskiej" zawiązane zostało Koło szkoły średniej, w celu zakładania, prowadzenia i popierania średnich zakładów naukowych. Zarząd składają pp. Bukowiński, W. Łypacewicz i dr. Cz. Mincowa.

— Rząd pruski oświadczył,—czytamy w *Ludzkości* —że z powodu podwyższenia opłat i surowszych wymagań cenzusu naukowego, liczba studentów-cudzoziemców w Niemczech zmniejszyła się z 6,429 na 4,994. Cudzoziemcy obecnie skierowali się do Niemiec Południowych, gdzie jest w politechnikach około 2,000 studentów. W uniwersytetach w r. 1906 zaregestrowano 21,719 studentów, wśród nich 1,890 cudzoziemców, w ich liczbie 870 Rosyan; w samym Berlinie jest 479 studentów-cudzoziemców. Rząd zasadniczo sądzi, że cudzoziemcy, członkowie socyal-demokratycznej partyi, powinni być wydaleni z wyższych zakładów naukowych. Berlinowi tymczasem nie grozi niebezpieczeństwo, ponieważ warunki przyjmowania są bardzo surowe; rząd przedsięweźmie wszelkie możliwe środki, aby przeszkodzić cudzoziemcom wtrącać się do polityki; cudzoziemców będzie pilnowała policya.

Prasa. Wydawnictwo *Telegraf* (dawniejsza *Strana*), zawieszone w drodze administracyjnej, zlikwidowane zostało zupełnie. Koszta wydawnictwa wyniosły w ciągu całego czasu istnienia obydwu pism powyższych 600,000 rb.

— W drukarni, w której drukuje się czarno-secinne *Rus. Znamia*, zecerzy odmówili składania gazety, rozrzucili czcionki i potłukli kaszty. Kruszewan zażądał aresztowania buntowników.

Wiadomości naukowe. Powstało w Warszawie Tow. prawnicze w celu podniesienia poziomu oraz rozwoju wiedzy prawniczej drogą wykładów, odczytów, zjazdów, wydawania pism, podręczników prawniczych i t. p.

Wiadomości ekonomiczne. Dochód szpitala Dzieciątka Jezus wynosić ma rub. 123,574, wydatki rb. 268,688; dochód szpitala św. Łazarza rb. 56,605, wydatki rb. 73,224; dochód szpitala wolskiego rb. 14,960, wydatki rb. 27,905; św. Jana Bożego dochód rb. 49,922, wydatki rb. 83.864; św. Stanisława dochód 34,579, wydatki rb. 51,429; żydowskiego dochód rb. 113,618, wydatki rb. 230,881; dochód szpitala praskiego rb. 36,223, wydatki rb. 71,201.

— Jedna z większych fabryk budowlanych w Warszawie, akc. Tow. „Martens i Daab", zawiesiła pracę. Jest to już czwarta w tym roku. Poprzednio zaprzestały pracować: Bevense (Czerniakowska) W. S. Tworkowski (Czerniakowska) i Horn (Ludna).

— Po skasowaniu prawa propinacyjnego w r. 1896 skarb zobowiązał się wypłacić odszkodowania. Do tej pory wypłacono wraz z procentami 30,226,893 rb. Do rozpatrzenia pozostaje jeszcze 125 spraw, na których zaspokojenie ministeryum skarbu wniosło do budżetu 700,000 rb.

— Kaliska dyrekcya T. K. Z. wystawiła na pierwszą sprzedaż przymusową 60 majątków za niezapłacenie rat w terminie.

Koleje i komunikacye. *Kijewlanin* donosi, że rząd układa się z kapitalistami zagranicznymi o budowę drugiego toru kolei Syberyjskiej i o eksploatacyę tej kolei w ciągu określonego czasu.

— Projekt nowego prawa o drogach wiejskich, który minister wniósł do rady gabinetowej, rozkłada powinność drogową na wszystkie stany i na wszystkich właścicieli nieruchomości z zamianą na pieniądzę.

— Na żądanie ministeryum wojny, z dniem 14-ym lipca r. b. część kolei warszawsko-petersburskiej, od Warszawy do Białegostoku, będzie przyłączona do sieci kolei nadwiślańskich.

Katastrofy. W Tulonie na pancerniku „Jena" nastąpił straszny wybuch prochów. Zginęło 110 marynarzy i 8 oficerów. Zniszczenie straszne. Sceny rozpaczy rozdzierające.

Zmarli. Casimir-Perier b. prezydent rzeczypospolitej francuskiej, zmarł w Paryżu 12 b. m.

— Petkow prez. gabinetu bułgarskiego, zamordowany wystrzałem z rewolweru przez spiskowca, na przechadzce w Sofii. Zasłużony i gorący patryota bułgarski, przyjaciel i uczeń Stambułowa.

OFIARY.

Dla dzieci robotników łódzkich: Z redakcyi *Kuryera litewskiego* na ręce p. A. Świętochowskiego rb. 8; Skowroński z Birska rb. 1; Staś, Maniusia i Tola z Woroneża rb. 1; z Siedlec za pośrednictwem p. Sokołowskiego rb. 100; z Aschabadu: Antoni Marcinkiewicz rb. 3, Ewaryst Muczkowski rb. 5; rocznicę śmierci Ludki Zagórskiej z Kijowa rb. 20; zebrane z przedstawienia amatorskiego w Dybińcach do rozporządzenia p. A. Świętochowskiego rb. 8, kop. 50; Zofia Hennel rb. 2; za pośrednictwem redakcyi *Mojego Pisemka* rb. 40; uczenice III klasy p. Walickiej rb. 22.

Dla robotników łódzkich, dotkniętych lockoutem: z Jurjewskich zakładów: J. Kolski rb. 10, Bolesław Wodzianowski rb. 5; Radlińska z Żytomierza rb. 10 ku uczczeniu dnia imienin drogiego brata; Polacy z Rostowa nad Donem: pp. Lopatto rb. 10, Pajdak rb. 5, Steuermark rb. 5, Knicki rb. 5, Wiszniewski rb. 6, Strzemska rb. 3, Józefowicz rb. 3, Pantoczek rb. 3, Dobrosławski rb. 3, Mergel rb. 3, Lopatto rb. 2, Jakutowicz rb. 2, Dzewońska rb. 1, Stęczkowski rb. 1, M. B. rb. 1, Kudasiewicz kop. 50, Urzaska kop. 50, Człapińska kop. 35, Żyda kop. 35, Kwiecińska kop. 15, Helena Kłos kop. 10, A. S. kop. 10; z Niemierowa: Niedzielski, Laskowski, Carjuk, Sasnicki, Mielnikow, Rowinski, Cetkowski, Czeszakowicz, Szelejkowski, Zwinogrodski — rb. 2 kop. 20; dr. Wład. Wroński z Otwocka rb. 3; ku uczczeniu nieodżałowanej pamięci dr. Krajewskiego na ręce A. Świętochowskiego Teresa Gordziałkowska z Monte-Carlo rb. 100. Uczenice z pensyi p. Kowalczyk na ręce A. Świętochowskiego rb. 59; Kerrer rb. 2 kop. 73; Borkowski rb. 1 kop. 80; robotnicy fabryki Wulkan, Stara Huta rb. 2 kop. 13.

OGŁOSZENIA.

Wydawca i redaktor: **Paulina Sieroszewska.** Sekretarz redakcyi: **Mamert Wikszemski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.